Wpisano do Inwentarza Publicznych i Miejskiej Wypożyczalni Książek dla dorosłych
dn. 30. X 1949 r.

W numerze m. in.:
J. RAWICZ
WŁ. SOKORSKI
J. ZAGÓRSKI
St. WOJTKIEWICZ
A. KRUCZKOWSKI

KUŹNICA

Cena 25 zł — 8 stron Warszawa, 30 października 1949 r. Nr 43 (215) Rok V

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Wraz z zadaniem zjawiają się środki jego rozwiązania.

KAROL MARKS

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

PO KONKURSIE CHOPINOWSKIM

Czwarty Międzynarodowy Konkurs Chopinowski mamy już za sobą. Mamy za sobą całe tygodnie wielkich emocji, kiedy to dwa razy dziennie zbieraliśmy się w sali „Romy", oczekując z napięciem, jaki poziom wykonawczy zaprezentuje nam wchodząca właśnie na estradę pianistka lub pianista, o nazwisku i narodowości ukrytej za bezosobowym numerem. A potem — w tygodniu ostatecznych rozgrywek finałowych — kiedy nazwiska najlepszej osiemnastki były już publiczności dobrze znane, — braliśmy żywy udział w końcowej rywalizacji młodych muzyków, dyskutowaliśmy gorąco o ich wadach i zaletach, gubiliśmy się w przewidywaniach klasyfikacji końcowej.

Dziś znamy już nazwiska zwycięzców i wiemy, jakie otrzymali nagrody. Rzut oka na listę wystarczy, aby się przekonać, że nagrodami podzielili się prawie równomiernie pianiści radzieccy i polscy. Te dwie ekipy były w stosunku do innych bardzo silne, a jednocześnie równorzędne między sobą. Równorzędność tę podkreśliło Jury Międzynarodowe, dokonując bardzo słusznego i szczęśliwego — jak się nam wydaje— posunięcia: zdublowano pierwszą nagrodę i wręczono ją czołowym przedstawicielkom obu ekip — Belli Dawidowicz (ZSRR) i Halinie Czerny-Stefańskiej (Polska).

Należy przy tym stwierdzić, że poziom finalistów poza małymi wyjątkami był nie tylko bardzo wysoki, ale i tak wyrównany, że Jury stanęło wobec niemałego kłopotu ustalając dalszą kolejność. W istocie różnice klasy między zdobywczynią np. drugiego miejsca, a powiedzmy, siódmego, czy nawet nienagrodzoną przedstawicielką Brazylii i przedstawicielem Węgier były minimalne. Trochę lepszy lub gorszy „dzień" pianisty mógł zadecydować o dużym przesunięciu w jego lokacie, rozstrzygały bowiem nieraz ułamki punktów.

Publiczność oceniała wartość poszczególnych uczestników na ogół trafnie i sprawiedliwie, nie zawsze jednak brała pod uwagę fakt, że o ostatecznej kolejności decydowała suma punktów z drugiego etapu (solowy recital, na który składały się sonata lub scherzo i ballada, oraz 2 etiudy, 2 mazurki, nokturn i polonez) i trzeciego etapu (koncert fortepianowy e-moll lub f-moll z orkiestrą). W ten sposób nawet trochę mniej udany występ w koncercie z orkiestrą, przy wysokiej punktacji za etap drugi, mógł wystarczyć do zajęcia wyższego miejsca i odwrotnie. Zresztą jest rzeczą oczywistą, że przy tak wyrównanej klasie ta lub owa indywidualność pianistyczna mogła jednemu przypadać do smaku bardziej, innemu mniej.

*

Przystępując do omówienia poszczególnych reprezentantów 13 narodowości, które brały udział w konkursie, trzeba zaznaczyć, że sześcio-osobowa ekipa radziecka odznaczała się bardzo wysokim i wyrównanym poziomem wyszkolenia technicznego. To solidne opanowanie techniki palcowej oraz wyraźnie większa niż u innych uczestników rutyna estradowa widoczne były zwłaszcza w finałowych występach z orkiestrą. Za techniką i rutyną idzie oczywiście większe opanowanie nerwowe i brak tremy. Charakterystyczne było, że pianiści radzieccy z reguły prezentowali się lepiej przy nabitej publicznością sali niż na porannych próbach. Od reguły tej odstąpił jedynie Mierżanow, który koncert e-moll zagrał gorzej niż na próbie, zawodząc kilkakrotnie technicznie i pamięciowo.

Poza omówionymi wyżej wspólnymi cechami — sześciu pianistów radzieckich, to sześć różnych indywidualności. Zdobywczyni pierwszego miejsca, laureatka nagrody im. Prezydenta Rzeczypospolitej — Bella Dawidowicz jest bezsprzecznie pianistką wysokiej klasy. Pewność techniczna, lekkość, z jaką wykonała finał koncertu f-moll, rozpiętość skali możliwości dynamicznych, soczystość forte, subtelność piano były doprawdy zadziwiające. Interpretacja każdego utworu — to głęboko i precyzyjnie przemyślana koncepcja zrealizowana z powściągliwością która odróżnia ją od reszty kolegów radzieckich, skłonnych raczej do liryzmu.

Skłonność ta, liryzm — bardzo szlachetnego zresztą gatunku — cechuje zdobywcę czwartej nagrody (im. Ministra Kultury i Sztuki), Jerzego Murawlewa. Zarówno w koncercie f-moll, jak i w solowym występie frapował słuchaczy ponadto jakimś głębokim skupieniem, siłą wewnętrznego przeżycia. Indywidualność to wysoce interesująca, zarówno w interpretacji drobnych form (nokturn, mazurki), jak i wielkich konstrukcji muzycznych (polonez-fantazja, sonata h-moll).

Odznaczony siódmą nagrodą (Prezydenta m. st. Warszawy) Eugeniusz Malinin jest może mniej dojrzały, ale kto wie, czy nie najbardziej utalentowany z tej trójki. Trochę mniej liryczny, za to bardziej „mięsisty" a równie skupiony, jak Murawlew, posiada Malinin rzadki dar trzymania słuchaczy w nieustannym napięciu. Koncert e-moll, a zwłaszcza jego część pierwsza była w wykonaniu Malinina niecodzienną kreacją. Dodajmy do tego, że ma on w tej chwili lat dziewiętnaście.

Nie wiele słabsza od tej czołowej trójki pianistów radzieckich była zdobywczyni nagrody dziewiątej (Państwowej Opery i Filharmonii) — Tamara Gusiewa. W finale wykonała koncert e-moll, wykazując szczególnie w części ostatniej — lekką, perlistą technikę i ładne piano, przy niedostatecznej pełni brzmienia forte.

Spory dystans od wyżej omówionych dzieli pozostałych dwoje pianistów radzieckich: Wiktora Mierżanowa (dziesiąta nagroda, Zw. Kompozytorów Polskich), który — jak już była mowa — nieco zawiódł w finale, oraz Ludmiłę Sosinę. Ta ostatnia, przy dobrej technice, wykazywała tendencję do zbyt dużych dowolności w tempach.

*

Osiągnięcia ekipy polskiej w IV Konkursie Chopinowskim są po prostu rewelacyjne. W żadnym z dawniejszych konkursów nie weszło aż tylu Polaków do finału, w żadnym nie zdobyli tylu czołowych miejsc, a nade wszystko — w żadnym Polak nie zdobył dotąd najwyższej nagrody konkursowej. Wyniki te zostały osiągnięte dzięki zastosowaniu po raz pierwszy nie tylko w Polsce, ale w ogóle w świecie — metody pracy zbiorowej kandydatów. Metoda ta przedstawiała się następująco: cały rok poprzedzający konkurs kandydaci otrzymywali stypendium państwowe w wysokości pozwalającej im skoncentrować się na przygotowaniach. Niezależnie od tego utworzono specjalną komisję złożoną z najwybitniejszych krajowych pedagogów i znawców. Komisja ta na wspólnych posiedzeniach przesłuchiwała kandydatów, wykrywała błędy i — po szczegółowej dyskusji — ustalała sposoby ich usunięcia. Ostatnie miesiące przed konkursem spędzili pianiści w Łagowie, pracując intensywnie pod bezpośrednim już kierunkiem komisji. Że system ten zdał w pełni egzamin, świadczą nie tylko ostateczne wyniki. Świadczy przede wszystkim niezwykle wyrównany poziom ekipy, w której właściwie nie było słabych punktów. Fakt, że jedyna kandydatka, która przygotowywana była indywidualnie, Regina Smendzianka, zawiodła w dużym stopniu pokładane w niej nadzieje — potwierdza również wartość metody pracy zbiorowej.

Ta metoda, która powinna być w przyszłości jak najszerzej stosowana — wykazała jedną tylko lukę: zbyt mały nacisk położono na przyzwyczajanie do grania z towarzyszeniem orkiestry. Skutkiem tego, Polacy w finale wychodzili na ogół gorzej niż w drugim etapie, gdzie byli prawdziwą rewelacją.

Nie bez znaczenia była tu zapewne i trema, wynikająca z poczucia odpowiedzialności, co powodowało, że wieczorne występy publiczne wypadły u niektórych gorzej niż poranna próba z orkiestrą. Szczęściem dorobek punktowy z drugiego etapu był tak duży, że wystarczył do utrzymania czołowych miejsc.

Pierwsza w historii konkursów Polka, która zdobyła najwyższe odznaczenie — Halina Czerny-Stefańska wykazała wysokie walory pianistyczne. Inteligentna, doskonale przemyślana interpretacja każdego z wykonanych utworów poparta była precyzyjną sprawnością techniczną i żywiołowością brzmienia. Wiele poezji odczuwało się zwłaszcza w wykonaniu mazurków, za które laureatka otrzymała osobną nagrodę Polskiego Radia.

Zdobywczyni drugiej nagrody (Komitetu Ministrów do Spraw Kultury) — dziewiętnastoletnia Barbara Hese-Bukowska odznacza się opanowaniem, spokojem i regularnością gry. Mniej indywidualna w interpretacji od Czerny-Stefańskiej, trochę od niej chłodniejsza, była niezawodna zarówno w utworach solowych, wykonanych z dużą subtelnością (nokturn), jak i w koncercie e-moll.

Ta sama regularność, pewność i duża poprawność wykonania cechowała Waldemara Maciszewskiego, który otrzymał trzecią nagrodę (Min. Spraw Zagranicznych).

Zdobywca piątej nagrody (Przewodniczącego CRZZ) — Władysław Kędra bił swych kolegów długoletnią rutyną estradową. Praca pod kierunkiem komisji i w Łagowie zrobiła swoje. Pianista ten pogłębił się znacznie i posunął naprzód w artystycznym rozwoju. Dużym atutem Kędry jest wyjątkowa łatwość wykonywania komplikacji technicznych i niezawodna pamięć. Koncert e-moll brzmiał soczyście i pełno.

Jednym z najbardziej interesujących pianistów w ekipie polskiej jest bez wątpienia Ryszard Bakst sklasyfikowany na szóstym miejscu (nagroda Komitetu Wykonawczego Roku Chopinowskiego). Posiada on wrażliwość, płynące od wewnątrz skupienie. Brzmienie, które umie wydobyć z instrumentu, jest „męskie" i pełne, pozbawione jednak wszelkiej brutalności czy ostrości. Pianistą wysoce inteligentnym, poważnie pracującym nad sobą jest Zbigniew Szymonowicz (nagroda ósma — Polskiego Radia). Jego interpretacja — refleksyjna, unikająca zbytniej czułostkowości — predystynuje go wybitnie do wykonywania Bacha, Beethovena, Brahmsa lub współczesnych mistrzów. Jednakże jego Chopin, chociaż „uklasyczniony" pozostaje prawdziwym Chopinem wykonanym z szlachetną powściągliwością.

Regina Smendzianka (jedenaste miejsce — nagroda Instytutu Fr. Chopina) jest bezsprzecznie utalentowaną pianistką, która wie czego chce. Wydaje nam się jednak, że czeka ją wiele pracy dla osiągnięcia artystycznej pełni, a także swobody i pewności technicznej i pamięciowej. Tadeusz Żmudziński (dwunasta nagroda — Zw. Pracowników Sztuki i Kultury) wykazał sporo temperamentu wirtuozowskiego i poprawność techniki.

*

Pozostała piątka nienagrodzonych finalistów otrzymała dyplomy honorowe i premie po 50 tys. złotych. Niewielka różnica klasy dzieli od „czołówki" Węgra Imre Szendrai, pianistę wybitnie interesującego, o dużej sile przeżycia wewnętrznego i własnej koncepcji wykonawczej, a także przedstawicielkę Brazylii, Carmen Vitis Adnet. Ta ostatnia była uczennicą mieszkającego stale w Szwajcarii prof. Józefa Turczyńskiego. Zapewne temu należy przypisać, że Chopin w jej wykonaniu ujęty jest stylistycznie zupełnie prawidłowo. Pianistka posiada dużo ciepła i wdzięku w interpretacji. Koncert f-moll zagrała z prawdziwą brawurą, a w jego część środkową wlała dużo subtelnej poezji. Słabszy był drugi dopuszczony do finału Brazylijczyk Osiano de Almeido. O Sosinie była mowa wyżej.

Sympatyczny Carlos Rivero, jedyny przedstawiciel Meksyku, jest zupełnie dobrym pianistą, koncert e-moll podczas próby wykonał na poziomie. Przy pełnej sali, w obliczu Jury zawiodły go, niestety, nerwy. Spory procent winy ponosi w tym wypadku szczególnie niefortunny akompaniament orkiestry.

Wśród tych, którzy po eliminacji nie zostali dopuszczeni do rozgrywek finałowych, znajduje się jeszcze spora garść pianistów na dobrym poziomie. Wśród nich — trzeba to stwierdzić z przyjemnością — są wszyscy pozostali Polacy: zupełnie poprawny Jan Drath, bardzo uzdolniona Julita Ślendzińska, a zwłaszcza Tadeusz Kerner (szczególnie nokturn, scherzo i mazurki). Pianista ten posiada cenny dar elektryzowania słuchaczy— dar płynący z wybitnego talentu. Wymienić należy ponadto Licię Mancini (Włochy), pianistkę skupioną, refleksyjną, nie dążącą do zewnętrznego, wirtuozowskiego efektu, dalej — nieco do niej zbliżoną w typie — Ingę Mayerhofer (Austria), rodaka jej Waltera Kempera, oraz zdolnego Kanadyjczyka Robina Wooda. Zaznaczyć trzeba, że Mancini, Ślendzińska i pianistka czechosłowacka Anna Machowa otrzymali zaświadczenia i premie dla najlepszych uczestników drugiego etapu.

*

Jeśli chodzi o rozgrywki finałowe, to wydaje nam się, że problem akompaniamentu orkiestry został rozwiązany niezbyt szczęśliwie. Solistom towarzyszyło na zmianę czterech dyrygentów:: Z. Górzyński, M. Mierzejewski, J. Krenz i St. Wisłocki — dwóch bardzo rutynowanych i pewnych, oraz dwóch przedstawicieli młodszego pokolenia kapelmistrzowskiego. Każdy z nich to odrębna indywidualność i — co za tym idzie — odrębna koncepcja wykonania tych samych dwóch koncertów Chopina. Wyglądało to w praktyce tak, że np. w niedzielę 9 bm., gdy szedł trzy razy z rzędu koncert f-moll, na próbie stawali kolejno przy pulpicie Mierzejewski, Krenz i Wisłocki i kolejno anulowali pracę poprzednika. Ten chciał akcent tam, ów gdzie indziej przyśpieszenie, tamten jeszcze gdzie indziej zwolnienie lub fermatę. Jasne jest, że przy wykonaniu publicznym musiał powstać z tego nielada chaos, przy czym publiczność niesłusznie sarkała na Bogu ducha winną orkiestrę. Wyobraźmy sobie, dajmy na to, że ci sami aktorzy muszą grać w ciągu jednego wieczora trzy razy tę samą jednoaktówkę, za każdym razem pod inną reżyserią, przy innych ustawieniach sytuacji itd. Czyż nie doszłoby do kompletnego zamieszania, w którym aktorom myliłoby się w końcu, którymi drzwiami tym razem mają wyjść na scenę i jak wypowiedzieć swoją kwestię? Gdy w sobotę pierwszego dnia finału Mierzejewski dobrze „ustawił" w orkiestrze koncert e-moll, już w poniedziałek drugi kapelmistrz „przenicował" go od góry do dołu. Tego samego psikusa spłatał nazajutrz swemu poprzednikowi trzeci z kolei dyrygent.

Sprawę tę można było najprościej rozwiązać w ten sposób, aby akompaniowali tylko dwaj dyrygenci, np. Górzyński i Mierzejewski, z tym, by jeden dyrygował stale koncertem e-moll, drugi f-moll. System ten byłby najsprawiedliwszy pod każdym względem i pozwoliłby na uniknięcie tak niemiłych niespodzianek, jak przy występie Meksykanina Rivero i jak omal nie było w wypadku Murawlewa i Malinina, gdyby nie ich opanowanie nerwowe i większa rutyna. Prawda, że dyrygenci mieliby wówczas cięższą pracę, ale przecież członkowie orkiestry musieli wykonywać te dwa koncerty aż sześć razy dziennie: na próbie i wieczorem. Że w tych ciężkich warunkach pracy, z instrumentami rozstrajającymi się na skutek upału panującego na sali potrafili sprostać zadaniu — należy im się za to najwyższe uznanie.

Międzynarodowy Konkurs Chopinowski jest imprezą zakrojoną na miarę największych przedsięwzięć kulturalnych, jakie się odbywają w świecie. Rozmach tego przedsięwzięcia, mnogość audycji konkursowych, zjazd zagranicznych gości, wielką liczba imprez towarzyszących konkursowi (recitale, koncerty symfoniczne, odczyty, oficjalne przyjęcia itp.), konieczność szybkiej obsługi informacyjno prasowej — wszystko to stawia organizatorów wobec wyjątkowo ciężkich problemów. Z satysfakcją możemy stwierdzić, że strona organizacyjna konkursu stała na wysokości zadania. Jeśli — z obowiązku recenzenta — zamieścimy tu kilka uwag krytycznych, czynimy to w przekonaniu, że pomoże to do osiągnięcia na przyszłość jeszcze lepszych rezultatów. Usterki były drobne i łatwe do usunięcia. Speaker o niezbyt wyrazistej dykcji, podający program przez głośnik na sali, z uporem zapowiadający Sosinę w koncercie f-moll, gdy w rzeczywistości grała ona e-moll, pewien bezład, który wkradł się w ostatnich dniach konkursu na skutek coraz większego przepełnienia publicznością wdzierającą się nieraz siłą, z biletami lub bez... Zdziwienie wywoływał również fakt że recenzentom prasowym, pomimo licznych „demarche" nie wyznaczono miejsc numerowanych, tylko bilety wejściowe do stale przepełnionych lóż. W ostatnich dniach finałów trzeba było, skutkiem tego, stać bez przerwy w tłoku, co oczywiście nie ułatwiało recenzentom wykonywania ich obowiązków. Wierzymy, że w przyszłości nie będziemy musieli na nic się uskarżać.

Faktem o dużym znaczeniu ogólnym jest prestiż, jaki Konkurs Chopinowski pozyskał sobie w świecie. Zdobycie najwyższego odznaczenia na tym konkursie, w kraju, w którym Chopin się narodził, jest bez przesady — największym marzeniem młodych pianistów wszystkich krajów. Laureat Konkursu Chopinowskiego ma otwartą drogę do sławy muzycznej, ma poparcie i sympatię całego kulturalnego świata. W tym naświetleniu jeszcze dobitniej rysuje się wielki sukces polskich pianistów w pokojowych zmaganiach narodów zjednoczonych w hołdzie dla wielkiego Polaka. W uwielbieniu bowiem dla geniusza Fryderyka Chopina tkwi tajemnica wielkiego znaczenia, jakie przywiązują nawet tak odległe od Polski kraje do zwycięstwa w Międzynarodowym Konkursie. Kult Chopina nigdy nie był w świecie tak silny, jak teraz — w setną rocznicę jego zgonu. Nigdy też nie odczuwaliśmy tak wyraźnie, że polska sztuka ludowa, na gruncie której wyrosła twórczość Chopina, którą przepełniony jest każdy takt jego genialnych utworów — że sztuka ta stała się własnością całego świata. Miliony prostych ludzi wszystkich krajów, słuchając czarownych dźwięków muzyki Chopina odczuwają nie tylko geniusz wielkiego artysty. Odczuwają, jak bezcenny jest wkład ludu polskiego w ogólno-światowy dorobek kulturalny — odczuwają twórczą wielkość narodu polskiego.

Wawrzyniec Żuławski

Fryderyk Chopin. Portret z dworku w Żelazowej Woli.

Bella Dawidowicz

Halina Czerny-Stefańska

JERZY RAWICZ

Carl von Ossietzky — bojownik sprawy pokoju

CZERWONE zeszyciki „Die Weltbuehne" miały w przedwojennej Polsce zdecydowany krąg zwolenników. „Die Weltbuehne", tygodnik poświęcony sprawom „polityki i gospodarki", odznaczał się zawsze wielką śmiałością myśli i przebojowością. Artykuły zdzierały maskę obłudy z możnych niemieckiego świata przedhitlerowskiego, ukazywały sprężyny niemieckiego militaryzmu i rewizjonizmu, służyły sprawie pokoju.

Dlatego „Weltbuehne" i jej redaktorzy byli tak bardzo znienawidzeni przez niemiecką reakcję, dlatego Carl von Ossietzky, redaktor naczelny tygodnika uważany był za wroga Nr 1 przez niemiecką prawicę.

Znany na ogół jest fakt aresztowania Ossietzky'ego przez hitlerowców i osadzenia go w obozie koncentracyjnym, mało natomiast ludzi wie, że Ossietzky podlegał represjom również w okresie przedhitlerowskim. W roku 1929 ukazał się w „Weltbuehne" artykuł piętnujący inspiracje militarystów niemieckich, planujących potajemne uzbrojenie Niemiec, wbrew układom międzynarodowym. Wówczas minister Reichswehry Republiki Weimarskiej gen. Groener wystąpił w imieniu Reichswehry z oskarżeniem przeciw Ossietzky'emu o zdradę stanu. Ossietzky stanął przed sądem państwowym 23 listopada r. 1931 i został skazany na półtora roku więzienia za zdradę państwa i zdradę tajemnic wojskowych. W maju r. 1932, kiedy wyrok się uprawomocnił, droga Ossietzky'ego do więzienia zamieniła się w demonstrację niemieckich sił postępowych. Robotnicy niemieccy, odprowadzający Ossietzky'ego do więzienia, dali wyraz swej sympatii ku niemu i wrogości wobec agresywnych planów imperializmu niemieckiego.

W grudniu r. 1932 redaktor „Weltbuehne" znalazł się na wolności dzięki amnestii i natychmiast przystąpił ponownie do pracy w tygodniku, oczywiście tak samo niezłomny, jak dawniej.

Nie długo mógł Ossietzky pracować ponownie na tym stanowisku. Nadciągająca burza hitleryzmu nie oszczędziła, rzecz prosta, tak niebezpiecznego przeciwnika. Ossietzky został aresztowany jako jeden z pierwszych, w przeddzień prowokacji podpalenia Reichstagu, 28 lutego roku 1933. 7 marca ukazał się ostatni numer „Weltbuehne".

Nastąpiły lata więzienia i obozów koncentracyjnych. Hitlerowskiego więzienia i hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Tylko ten, kto był w takich więzieniach i obozach, zdaje sobie sprawę, co to znaczyło, jeżeli kaci hitlerowscy specjalnie kogoś „wyróżniali". A kaci hitlerowscy mieli dostateczne powody, by „wyróżnić" właśnie Ossietzky'ego.

W obozie w Sonnenburgu zamknięto Ossietzky'ego w specjalnej okrągłej, gumowej celi. Przed paroma miesiącami jeszcze pełen żywotności, młody jeszcze człowiek (urodził się w r. 1889), latem roku 1933 był fizycznie już tylko cieniem, mimo że nie załamywał się. Zresztą hitlerowskie kierownictwo obozu miało polecenie utrzymania go przy życiu ze względu na zagranicę.

O morale Ossietzky'ego w tym okresie świadczy następujące wydarzenie opowiedziane przez naocznego świadka Karla Gruenberga: z końcem lata r. 1933 odwiedziła obóz wycieczka dziennikarzy zagranicznych. Oczywiście — obóz należycie przygotowano, tak, by sprawiał mniej więcej wrażenie kolonii letnich. Dziennikarze zagraniczni wyrazili ochotę zobaczenia Ossietzky'ego. Proszę bardzo! Osławiony amerykański dziennikarz Knickerbocker zadał Ossietzky'emu pytanie, czy może mu przysłać jakąś określoną książkę do czytania. Ossietzky odpowiedział: — Jeżeli pragnie mi pan coś przysłać, proszę przysłać mi obszerną książkę o średniowiecznej inkwizycji.

I znowu trzeba znać stosunki obozowe, aby wiedzieć, jakiej odwagi wymagała ta odpowiedź. Rozmowa odbywała się oczywiście w obecności władz obozowych.

Więźniowie obozu w Sonnenburgu okazywali w miarę możności, pomoc Ossietzky'emu. W obozie byli w tym czasie również Eryk Muehsam, działacz i poeta lewicowy, oraz znany pisarz Ludwig Renn.

W obozie Esterwegen, do którego przeniesiono następnie Ossietzky'ego, było jeszcze gorzej. Akcja zagraniczna, mająca na celu uwolnienie bojownika z obozu, dawała tymczasem wręcz przeciwne rezultaty, narażała go na szykany i kary. Ale organizm Ossietzky'ego był silny, a przede wszystkim wola walki tak twarda, że nie pozwalała się ciału załamywać. To znana rzecz z hitlerowskich obozów, że załamanie fizyczne następowało zazwyczaj dopiero po załamaniu psychicznym.

Po prostu zamordować Ossietzky'ego nie można było. W owym czasie Hitler dbał jeszcze o pozory, a napór zagranicy był silny.

Tak trwało do roku 1936. W tym czasie wysunięto kandydaturę więźnia Esterwegen do pokojowej nagrody Nobla. Mimo różnych sprzeciwów (wpływy hitlerowskie w Skandynawii działały) Ossietzky uzyskał nagrodę.

Był to policzek wymierzony hitleryzmowi, ale jednocześnie pewna gwarancja, że Ossietzky, którego nazwisko znalazło się teraz na ustach całego świata, nie zostanie zamordowany. Trudno też było w dalszym ciągu trzymać Ossietzky'ego w obozie. Prasa postępowa całego świata uparcie żądała jego uwolnienia, tysiące zebrań i wieców na całym świecie poświęcono tej sprawie.

W tej sytuacji powstał w umysłach władców Trzeciej Rzeszy potworny plan godny jego autorów. Szczegóły tej sprawy wyszły na jaw dopiero w ostatnich tygodniach. Dokumenty, które wdowa po von Ossietzky'm pani Maud von Ossietzky uzyskała od norweskiego komitetu nagrody Nobla, świadczą, że decyzję w sprawie von Ossietzky'ego powzięły najwyższe czynniki Trzeciej Rzeszy.Goering, Himmler i Heydrich wymieniali korespondencję w tej kwestii.

Carl von Ossietzky

Ossietzky był w obozie regularnie badany przez lekarza, a raporty o jego stanie zdrowia wędrowały do szefa gestapo. Wynikało z nich, że więzień, choć poważnie osłabiony, po wypuszczeniu na wolność może jednak wrócić do zdrowia.. Tak było do roku 1936. Aż nagle kolejny raport donosi, że więzień jest ciężko chory na gruźlicę i leży w szpitalu. Zachodzi obawa śmierci.

Sprawa była prosta. Kiedy okazało się, że Ossietzky'ego trzeba będzie wypuścić z obozu, ponieważ wobec wielkich planów agresji nie warto było sobie psuć stosunków z zagranicą dla jednego więźnia, postanowiono Ossietzky'ego „zlikwidować" w inny sposób. Pewnego dnia wstrzyknięto mu zarazki gruźlicy. Proces chorobowy rozwijał się zastraszająco. Teraz można już było Ossietzky'ego „wypuścić", nie był już groźny.

Redakcja „Weltbuehne" publikuje w październiku rb. (wydawnictwo zostało po wojnie wznowione) list jednego ze współwięźniów Ossietzky'ego, który kategorycznie twierdzi, że był świadkiem wstrzykiwania Ossietzky'emu zarazków w szpitalu obozowym. W sprawie tej toczy się jeszcze śledztwo.

W czasie swego niedawnego pobytu w Niemczech miałem okazję rozmawiać na ten temat z panią Maud von Ossietzky, i ze znanym publicystą niemieckim i współpracownikiem Ossietzky'ego Hansem Leonardem.. Oboje są wydawcami nowej „Weltbuehne", która ukazuje się obecnie w starej szacie graficznej i kontynuuje w nowych warunkach dzieło Ossietzky'ego. Pani Ossietzky stwierdza, że mąż po powrocie z obozu mówił jej, iż robiono mu zastrzyki, rzekomo wzmacniające. W najbliższych dniach jednak odczuł już pogorszenie stanu zdrowia.

Znając z własnych doświadczeń bezmiar hitlerowskiej podłości, rozumiemy, że właśnie w ten sposób rozprawiono się z Ossietzky'm.

Skazany na śmierć bojownik wyszedł „na wolność". Na wolność — tzn. do wskazanego przez hitlerowców szpitala, gdzie w dalszym ciągu znajdował się pod nadzorem gestapo. Dopuszczono do niego tylko żonę, a pod drzwiami pokoju w szpitalu stał agent gestapo.

O okresie tym opowiada p. von Ossietzky, co następuje: „Mąż mój zachował pełną przytomność umysłu. O latach obozowych mówił bardzo niechętnie, natomiast wielokrotnie mówił o zamierzonej przez hitleryzm wojnie. Uważał Związek Radziecki za decydującą siłę, która potrafi się przeciwstawić barbarzyństwu hitlerowskiemu i faszyzmowi w ogóle. Pana, jako Polaka, zainteresuje fakt, że mąż mój przez całe życie marzył o tym, by poznać Polskę. Żywił wiele sympatii dla Polaków; pochodził przecież z polskiej rodziny a dziadek jego mówił jeszcze po polsku. I w okresie poprzedzającym śmierć, Carl parokrotnie mówił o Polsce. Niestety, nie dane mu było poznać waszego kraju, tak, jak zresztą i inne jego zamierzenia nie miały doczekać się urzeczywistnienia".

4 maja roku 1938 Ossietzky zmarł. Do krematorium zwłoki odprowadzała żona, lekarz i... dwóch agentów gestapo. O nikczemności hitlerowców niech świadczy jeszcze fakt następujący: Ossietzky'emu oczywiście nie pozwolono wyjechać za granicę dla podjęcia nagrody Nobla. „W jego imieniu" podjął nagrodę, poważną sumę pieniężną, wyznaczony przez władze adwokat-hitlerowiec. Z pieniędzy tych ani Ossietzky ani jego żona nie otrzymali ani grosza.

Chciałbym przy okazji przypomnieć pewien moment akcji polskiej lewicy w obronie Ossietzky'ego. Pismo Frontu Ludowego w Polsce „Dziennik Popularny" wszczął w roku 1936 szeroką akcję w obronie Ossietzky'ego. Kiedy Ossietzky'emu przyznano nagrodę Nobla, redakcja „Dziennika Popularnego" wysłała do nieugiętego bojownika depeszę gratulacyjną z życzeniami wytrwania w walce. Depesza wróciła do redakcji z niemiecką adnotacją „von Ossietzky — unbekannt". Wówczas redakcja wydrukowała odbitkę tej depeszy na pierwszej kolumnie z zapytaniem: „Von Ossietzky unbekannt? — Czy rzeczywiście von Ossietzky jest w Niemczech nieznany?"

Ciekawe jest zagadnienie stosunku von Ossietzky'ego do zorganizowanych sił lewicy społecznej. 19-letni Ossietzky jest członkiem postępowej mieszczańskiej Deutsche Demokratische Partei. Później jednak nie mieści się już w jej ramach i do końca życia jest bezpartyjny. Bezpośrednio po zakończeniu pierwszej wojny światowej Ossietzky jako sekretarz Towarzystwa Pokojowego w Berlinie hołduje częściowo mieszczańskiemu pacyfizmowi integralnemu, pragnie pokoju, pragnie walczyć o pokój, ale nie zdaje sobie jeszcze w pełni sprawy, przeciw komu należy walczyć w obronie pokoju, gdzie tkwią ogniska wojny. Ossietzky był jednak zbyt wielkiej klasy działaczem i publicystą, by nie przezwyciężyć tych nawyków ,myślowych i nie zrozumieć mechanizmu dziejów.

Jego walka przeciw siłom wojny stawia go coraz konkretniej w obozie lewicy społecznej. Weimarska republika z socjalistyczną tromtadracją Ebertów, Scheidemannów i von Grzesińskich odsłania coraz wyraźniej swoje rzeczywiste, militarystyczne i rewizjonistyczne oblicze. Ossietzky rozumie, że Treviranus (który nota bene wypłynął w ostatnich dniach w Niemczech), jest prekursorem jawnego faszyzmu. Dlatego też Ossietzky zbliża się coraz bardziej do komunistów, widząc tylko w nich sprzymierzeńców w walce. W przeddzień jego aresztowania przez hitlerowców w roku 1933 Ossietzky składa znamienne wyznanie publiczne na posiedzeniu związku pisarzy niemieckich:

„Nie należę do żadnej partii. Walczyłem na wszystkie strony, przede wszystkim przeciw prawicy, ale również przeciw lewicy. Dziś jednak musimy wiedzieć, że na lewo od nas stoją tylko sojusznicy.

Sztandar, do którego się przyznaję, to już nie czarno-czerwono-złoty sztandar tej zdegenerowanej republiki, ale czerwony sztandar zjednoczonego ruchu antyfaszystowskiego".

Jednocześnie wyrażany wielokrotnie w różnych okresach życia przez Ossietzky'ego podziw dla ZSRR, świadczy o jego bliskości ideowej ze zorganizowanym ruchem klasy robotniczej.

*

Tak się złożyło, że w przeddzień sześćdziesiątej rocznicy urodzin wielkiego bojownika o pokój, we Frankfurcie nad Odrą polscy przodownicy pracy i niemieccy robotnicy wspólnie świętowali Międzynarodowy Dzień Pokoju. „Czerwone sztandary zjednoczonego ruchu antyfaszystowskiego", o których mówił, jako o własnych — w przeddzień aresztowania przez hitlerowców — von Ossietzky, powiewały po obu stronach granicy polsko-niemieckiej.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby Ossietzky dożył wyzwolenia, byłby czołowym uczestnikiem manifestacji pokojowych, stałby w pierwszym szeregu tych ludzi, którzy postawili sobie za cel zbudowanie nowych demokratycznych, pokojowych Niemiec, wolnych od militaryzmu, faszyzmu i rewizjonizmu.

Dzieło Ossietzky'ego znalazło godnych kontynuatorów, właśnie spod znaku czerwonych sztandarów. Robotnicy niemieccy, czołowa siła obozu, który powołał do życia nowe, demokratyczne państwo niemieckie, realizują wbrew zbrodniczym zakusom ciemnych sił ideały pokoju.

Jerzy Rawicz

ZENON WIŚNIEWSKI

O polsko-radzieckiej współpracy naukowej

Charakterystyczną cechą życia naukowego, przedwrześniowej Polski był kult „zachodnio-europejskiego geniuszu" i wynikające z tego kultu poczucie własnej niższości w stosunku do Zachodu Europy. Zjawisko to, podtrzymywane zresztą świadomie przez zachodnio-eurojeskie koła imperialistyczne, miało, rzecz jasna, określony sens polityczny.

Te wpływy, tendencje filozoficzne lub niepozbawione praktycznego znaczenia politycznego infiltracje występowały jaskrawo w socjologii, w naukach historycznych, filologicznych, zwłaszcza w filozofii. Powodowały głęboki kryzys, z którego w polskich środowiskach postępowych zdawano sobie sprawę, nie umiejąc znaleźć sposobów ani środków umożliwiających wyjście z impasu.

Nie znaczy to naturalnie, że na przestrzeni swych dziejów nauka polska nie wniosła nader cennego wkładu do ogólnoludzkiej skarbnicy wiedzy i że nie miała pięknych postępowych tradycji.

Po wojnie zostały w Polsce obalone podstawy ustrojowe i instytucje prawne kapitalizmu. Naród polski stanął w szeregach obozu walczącego o pokój i sprawiedliwość społeczną. Te historyczne fakty kształtują dziś nowe oblicze ideologiczne nauki polskiej.

Wszystkie przeobrażenia rewolucyjne mają w Polsce przebieg tak pomyślny w dużej mierze dzięki wykorzystywaniu przez nas trzydziestoletnich doświadczeń Związku Radzieckiego, pierwszego socjalistycznego państwa na świecie. Powszechna świadomość tego faktu powoduje pragnienie pełnego poznania osiągnięć radzieckich w dziedzinie materialnej i intelektualnej.

W takich nowych sprzyjających warunkach przed nauką polską wyłania się jako jedno z najpilniejszych zadań — wyrównanie strat poniesionych wskutek braku kontaktów z nauką radziecką w okresie międzywojennym.

Nauka polska w różnych gałęziach wiedzy odczuwa potrzebę konsultacji ze stroną radziecką. Współpraca z nauką radziecką np. w zakresie nauk społecznych, prawa, ekonomii, historii czy lingwistyki staje się zagadnieniem warunkującym dalszy właściwy rozwój tych dyscyplin w Polsce. Nie mniej ważnym zagadnieniem jest zaznajomienie się ze zdobyczami radzieckimi w zakresie nauk matematyczno-przyrodniczych oraz nauk stosowanych, lekarskich, technicznych i rolniczych.

Duże znaczenie posiada również poznanie organizacji, struktury i metod badawczych instytucji naukowych w ZSRR.

Mówiąc o konieczności pogłębienia polsko-radzieckiej współpracy naukowej nie sposób pominąć milczeniem sprawy socjalistycznej postawy naukowca radzieckiego, która jest całkiem odmienna od postawy uczonych pracujących w państwach kapitalistycznych.

Burżuazyjny mit czystej nauki i rzekomy jej obiektywizm, skłaniał do usuwania elementu uczucia i woli, rozumienia znaczenia i celowości, zwalniał uczonego od obowiązku twórczego wnikania w filozoficzne i praktyczne konsekwencje jego pracy badawczej. Wychowany w takiej tradycji uczony stawał się niejednokrotnie zwykłym robotem a jego działalność naukowa, niezależnie od wyników, pozbawiona była najpiękniejszego znamienia — głębokiego humanizmu.

Kapitalizm patronował gorliwie hasłu „czystej nauki" i każdą próbę uideowienia czy uhumanistycznienia działalności naukowej ogłaszał za sprzeniewierzenie się nauce.

Zacieśnienie współpracy z nauką radziecką niewątpliwie wyjaśni i rozproszy wiele nieporozumień leżących u podstaw tego zjawiska. Uczony radziecki jest bowiem wolny od scholastycznego balastu zaciemniającego jasny sens badań naukowych i dlatego może koordynować swą pracę naukową z ideami realizowanymi przez socjalistyczne społeczeństwo.

Budowa socjalizmu w Polsce wymaga kontaktu z nauką radziecką jako teoretyczną podstawą, pomocną przy rozwiązywaniu węzłowych zagadnień wyłaniających się we wszystkich dziedzinach życia narodowego. Łączność teorii z praktyką stanowi bowiem o dynamizmie socjalistycznej nauki. Porzucając pozycje wzniesione na gruncie ustroju kapitalistycznego — nauka polska szybciej stanie się teoretyczną bazą dla rozwoju socjalizmu w Polsce.

Jeżeli chodzi o zainteresowania radzieckich uczonych nauką polską, to zdają się one ześrodkowywać przede wszystkim na odcinku humanistycznym. Studia radzieckie nad społeczno-polityczną historią Polski, nad dziejami polskiej kultury, nad literaturą polską, lingwistyką, etnografią, folklorem itd. posiadają charakter źródłowy ,zasadniczy i bardzo wszechstronny. Pracy tej towarzyszy szczera sympatia dla Polski Ludowej i uznanie dla wszystkiego, co piękne i bohaterskie w naszej przeszłości.

Badania radzieckie nad kulturą polską koncentrują się przede wszystkim w Moskwie i Leningradzie, gdzie bogate księgozbiory zawierają nie mało polskich pozycji, jak np. Biblioteka im. Lenina w Moskwie. Skromniejszymi ośrodkami badawczymi są Kijów i Mińsk. Młody narybek naukowy w tej dziedzinie przygotowuje sobie Związek Radziecki przez prowadzenie sekcji polonistycznych w oddziałach słowiańskich swych uniwersytetów. Np. oddział słowiański wydziału filologicznego Uniwersytetu im. Łomonosowa (Moskwa) posiada m. in. sekcję polską, liczącą ponad stu studentów polonistyki. Podobnie jak na Uniwersytecie Moskiewskim zorganizowane są studia polonistyczne na Uniwersytecie Leningradzkim. Liczne placówki kulturalne Związku Radzieckiego poświęcają wiele uwagi kulturze polskiej, że wymienimy tu dla przykładu Gabinet Dramaturgii Polskiej Wszechrosyjskiego Towarzystwa Teatralnego czy też Państwowe Wydawnictwo Literackie, grupujące wybitnych literatów, historyków literatury i krytyków. Liczne przekłady literatury polskiej, jak Mickiewicza, Konopnickiej, Orzeszkowej, Prusa, Sienkiewicza, Żeromskiego, wreszcie przekłady prozy i poezji współczesnej — świadczą o zainteresowaniu i o dużym nakładzie pracy co gwarantuje pogłębienie polsko-radzieckich stosunków kulturalnych.

Przyjazdy uczonych radzieckich do Polski i uczonych polskich do ZSRR, kontakty korespondencyjne, ożywiona wymiana prasy naukowej, wszystko to, stanowi zapowiedź bardziej ożywionych stosunków. Wreszcie setki naszej młodzieży przebywającej na studiach w Związku Radzieckim stanowić będą w przyszłości kadry naukowe, w oparciu o które rozwijać się będzie polsko-radziecka współpraca naukowa.

To wszystko, co uczyniono dotychczas na odcinku zbliżenia kulturalnego i naukowego między narodami ZSRR a narodem polskim stwarza już warunki dla rozszerzenia polsko-radzieckich kontaktów naukowych.

Zrozumienie konieczności zacieśnienia polsko-radzieckich kontaktów naukowych jest powszechne. Świadczą o tym głosy rozlegające się ze strony polskich instytucji naukowych, organizacji technicznych, kulturalnych i oświatowych, domagających się powołania centralnej instytucji planującej i koordynującej rozproszone wysiłki i osiągnięcia na odcinku współpracy naukowej ze Związkiem Radzieckim. Ta doniosłej wagi sprawa była niejednokrotnie dyskutowana w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i spotkała się ze zrozumieniem Ministerstwa Oświaty. Bezwątpienia instytucja służąca polsko-radzieckiej współpracy naukowej spotkałaby się z gorącym przyjęciem całego społeczeństwa polskiego.

Słuszne przeto wydaje się zagajenie publicznej dyskusji na temat form organizacyjnych, zakresu działania i metod pracy takiej centralnej instytucji, sprawującej pieczę nad współpracą naukową ze Związkiem Radzieckim.. Celem takiej instytucji winno być planowanie i organizowanie tej współpracy we wszystkich dziedzinach wiedzy. Projektowana instytucja nie może opierać swej działalności na ograniczonym sztabie pracowników etatowych i być agendą podległą jakiemuś jednemu resortowi państwowemu.

Różnorodne i specjalne zagadnienia naukowe, jakie staną przed instytucją ogarniają całokształt polsko-radzieckich stosunków naukowych, mogą być właściwie rozwiązywane jedynie przez poważne grono najwybitniejszych specjalistów z różnych dziedzin wiedzy. Dlatego instytucja, o której mowa, winna mieć charakter społeczny o rozległej podstawie działania. W tym celu najwłaściwsze byłoby powołanie towarzystwa współpracy naukowej ze Związkiem Radzieckim. Towarzystwo to opracowywałoby roczne plany działalności naukowej ,ogłaszałoby konkursy w zakresie studiów polsko-radzieckich, wydawałoby drukiem prace naukowe, prowadziłoby centralną bibliotekę radziecką, dział muzealno-wystawowy, wreszcie prowadziłoby Instytut Radziecki, którego działalność miałaby charakter dydaktyczny, ale nie naukowo-badawczy.

Na członków czynnych towarzystwa winni być powołani wybitni uczeni polscy, a także uczeni radzieccy. Organizacyjnie towarzystwo dzielić się winno na wydziały naukowe, obejmujące językoznawstwo i historię literatury, historię sztuki i estetykę, nauki historyczne, społeczne i filozoficzne, jak również nauki biologiczne, techniczne, prawnicze i ekonomiczne, lekarskie, rolnicze.

W założeniu więc towarzystwo miałoby praktyczne zadanie programowe i organizacyjne. Natomiast zagadnienia merytoryczne, ściśle naukowe, rozwiązywane byłyby w zakładach specjalnych różnych wyższych uczelni w Polsce, w laboratoriach towarzystw i instytucji naukowych, wreszcie przez specjalne zespoły naukowe lub przez poszczególnych naukowców. W ten sposób towarzystwo ustalałoby ściśle określone zagadnienia naukowe, rozprowadzałoby je do opracowania w całym kraju, ewentualnie powierzałoby przeprowadzenie studiów w zakładach naukowych Związku Radzieckiego, następnie opracowane już zagadnienia naukowe podawałoby do publicznej wiadomości na posiedzeniach jawnych lub przez publikowanie ich drukiem; wreszcie — przekazywałoby do praktycznego zastosowania wyniki swych prac, co niewątpliwie będzie miało miejsce w zakresie np. rolnictwa czy techniki.

Naukowe posiedzenia towarzystwa z udziałem przedstawicieli radzieckich stałyby się niewątpliwie okazją do wymiany poglądów między uczonymi radzieckimi i polskimi, co miałoby poważne znaczenie dla życia naukowego w Polsce.

Jak wynika z powyższego, żywotność towarzystwa w dużym stopniu uwarunkowana byłaby rzeczowością i realnością rocznych, względnie dwuletnich czy trzyletnich planów działalności.

Plany opracowane na posiedzeniach poszczególnych wydziałów naukowych, poddane krytyce na zebraniach plenarnych, mogłyby dopiero stać się realną podstawą dla konkretnej długofalowej działalności towarzystwa.

Jeżeli chodzi o Instytut Radziecki, to charakter tej placówki podległej Towarzystwu, winien być, jak zaznaczyliśmy wyżej, dydaktyczny. Instytut winien mieć zą zadanie pogłębienie wiedzy o Związku Radzieckim wśród działaczy społecznych, oświatowych, nauczycieli, działaczy związków zawodowych, literatów, dziennikarzy itd. W tym celu Instytut winien mieć etatowy personel wykładający, prowadzić wykłady w języku rosyjskim (jak to ma miejsce w Instytucie Francuskim w Warszawie), czasokres kursu winien być ściśle określony (rok lub dwa). Wreszcie — po wysłuchaniu wykładów i seminariów — Instytut powinien wydawać absolwentom świadectwa dające pewne uprawnienia zawodowe. Wykłady winny obejmować co najmniej dwa cykle: 1) cykl historyczno-społeczno-ekonomiczno-filozoficzny; 2) cykl historyczno-literacki (językoznawstwo, literatura, sztuka).

Rzecz jasna, artykuł niniejszy nie pretenduje do rozwiązania wszystkich zagadnień statutowych, organizacyjnych i merytorycznych przyszłego Towarzystwa Współpracy Naukowej ze Związkiem Radzieckim czy też Instytutu Radzieckiego. Są to bowiem zagadnienia wymagające szczegółowego opracowania i kolegialnej dyskusji. W Miesiącu Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej wydaje się jednak rzeczą celową postawienie sprawy polsko-radzieckiej współpracy naukowej na płaszczyźnie bardziej konkretnej i szczegółowej, niż dotychczas.

Zenon Wiśniewski

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

Wytyczne szkolnictwa artystycznego

GŁĘBOKI proces powstawania nowej sztuki naszego okresu, sztuki realizmu socjalistycznego, nie mógł ominąć młodzieży artystycznej. Przeciwnie, tam właśnie znalazł oddźwięk najżywszy, najbardziej bezpośredni, czasami nawet o przebiegu dramatycznym. Problem artystycznej prawdy jest dzisiaj w naszych uczelniach żywo dyskutowany, przepracowywany i często, na gorąco, w twórczym wysiłku kształtowany. W tych więc warunkach hasło Festiwalu młodzieży szkół artystycznych, który odbywa się w wielkich Halach Targowych w Poznaniu, spotkało się z gorącym przyjęciem. Można powiedzieć, że wszystkie niemal szkoły od pół roku pracowały pod znakiem Festiwalu, przewartościowując swoje doświadczenia, metody pracy i założenia programowe.

Zjazd festiwalowy, w którym bierze udział przeszło tysiąc młodzieży i pięciuset pedagogów, ma w tych warunkach charakter twórczej konfrontacji osiągnięć programowo-artystycznych z dotychczasowymi założeniami i tradycjami szkolnymi.

Konieczność dokonania wielkiej pracy oparcia szkolnictwa artystycznego na nowych zasadach programowo-artystycznych i nowych założeniach ideologiczno-artystycznych nie jest jednak żadną dyskwalifikacją wielkich zasług jej dotychczasowych kierowników i pedagogów. Jest po prostu konsekwencją głębokich przemian, przez jakie przeszło całe życie naszego kraju, a życie artystyczne w szczególności.

Jakże bowiem ten proces budowania nowego życia przedstawiał się dotąd w szkolnictwie artystycznym, które jeszcze na podstawie dekretu PKWN znalazło się w ramach Ministerstwa Kultury i Sztuki. Zaczniemy od kilku danych statystycznych.

W chwili obecnej mamy szkół artystycznych:

Ogółem			Wyższe	Średnie		Niższe		Umuzykaln.		Ogn plast		Kursy
razem	państwowych	niepaństwowych	państwowe	państwowe	niepaństwowe	państwowe	niepaństwowe	państwowe	niepaństwowe	państwowe	niepaństwowe	państwowe
280	86	194 z tego samorządowych 38	21*)	31	59	10	74	6	48	20	7	4

Młodzież w tych szkołach stanowi liczbę 33.153 słuchaczy, z tego studentów szkół wyższych 3.507. Na szkolnictwo plastyczne wypada młodzieży 6.537, na muzyczne 24.725, teatralne 584, choreograficzne 1.184, filmowe 123. Stan socjalny tej młodzieży wyglądał dotąd w sposób następujący: dzieci robotników 26%, dzieci chłopów 10%, dzieci inteligencji 48%, dzieci rzemieślników i innych 16%.

Szkolnictwo artystyczne w latach 1944—1945 powstawało na starych zasadach ustrojowych, żywiołowo, bez żadnej planowej sieci, jako szkolnictwo typu artystyczno-elitarnego a nie ogólnokształcącego, a więc nie na prawach szkół zawodowych. Procent robotników w tego rodzaju szkolnictwie był nieznaczny, a i obecnie wykazywany procent jest w znacznym stopniu często niedokładny.

Pierwsza reforma szkolnictwa była przeprowadzona w roku 1945—46. Polegała ona na powołaniu do życia, w zakresie plastyki, liceów zawodowych oraz wyższych szkół plastycznych typu politechniczno-użytkowego, związanych z odpowiednimi gałęziami przemysłu (Łódź — włókno, Katowice — poligrafika, Wrocław — szkło, ceramika itp.). Takich liceów, o dwóch zasadniczych typach — liceów techniczno-plastycznych i liceów sztuk plastycznych — powstało do dnia dzisiejszego 22. Jednocześnie powstało 7 wyższych szkół plastycznych. Reforma ta była jednak tylko częściowa, ani bowiem nie ukształtowała ostatecznie szkół wyższych w szkoły określonego typu ani nie zlikwidowała średniowiecznych stosunków w akademiach wiążących ucznia z określoną pracownią od pierwszego roku studiów do ostatniego. Istotną zdobyczą tej reformy było jednak zorganizowanie średniego, ogólnokształcącego szkolnictwa, którego absolwenci mieli już zarówno określone uprawnienia zawodowe, jak i możności wyższych studiów wszystkich stopni i zainteresowań.

Szkolnictwo muzyczne natomiast wybrało drogę reformy jeszcze bardziej ułamkowej. Rozszerzyło wprawdzie znacznie bazę niższego szkolnictwa, zwłaszcza umuzykalniającego, wzorując się w tym wypadku na szkolnictwie ZSRR, natomiast zachowało elitarny typ średniej i wyższej szkoły. Średnie szkolnictwo nie dawało w tych warunkach samodzielnych uprawnień, oderwane było od szkolnictwa ogólnokształcącego i stanowi po dzień dzisiejszy całkowicie zamkniętą uliczkę elitarnego i branżowego szkolnictwa, bez żadnej drożności w stosunku do szkolnictwa Ministerstwa Oświaty. Jednocześnie szkoły umuzykalniające i ogniska muzyczne nie dawały żadnych uprawnień zawodowych ani nie miały żadnej drożności do następnych stopni własnego szkolnictwa.

W roku 1946 powołano do życia — tytułem eksperymentu — liceum muzyczne w Katowicach, uczelnię typu szkoły zawodowej. Ta pierwsza zawodówka muzyczna z dwóch członów (7 lat i cztery) zdała w pełni egzamin i przesądziła tym samym kierunek reform i w szkolnictwie muzycznym. W szkolnictwie teatralnym zlikwidowano natomiast w 1948 r. szkolnictwo średnie jako zupełnie chybiony i szkodliwy eksperyment lat pierwszych. Natomiast powołano do życa trzy szkoły typu zawodowo-wyższego (Warszawa, Łódź, Kraków). W szkolnictwie choreograficznym nie przeprowadzono do roku 1949 żadnych reform. Dopiero w br. powstają pierwsze trzy licea. Poza tymi reformami, w latach 1947—48 wprowadzono do wszystkich szkół obowiązujący przedmiot Polski Współczesnej, a do wyższych, poczynając już od drugiego roku, elementy estetyki marksistowskiej i materializm dialektyczny. W praktyce powyższe przedmioty są wykładane zaledwie w kilku szkołach (Warszawa, Łódź, Kraków) — po prostu z braku prelegentów.

We wrześniu roku 1948 przystąpiono do opracowania projektu nowej zasadniczej reformy szkolnictwa artystycznego. Reforma ta stopniowo jest realizowana i rozwija się w sposób następujący.

W roku 1949—50 całe szkolnictwo zawodowe plastyczne i teatralne, a w roku 1951 całe szkolnictwo muzyczne i choreograficzne ma zostać całkowicie upaństwowione, w związku z czym nastąpi uporządkowanie sieci szkół artystycznych, ich komasacja, typizacja oraz uregulowanie ich zasięgu regionalnego. Przewiduje się zmniejszenie liczby szkół muzycznych niezawodowych przez, z jednej strony — wlanie ich do szkolnictwa zawodowo-ogólnokształcącego, z drugiej zaś — przez powołanie do życia zawodowych szkół instruktorskich, które obejmą dorastającą młodzież i będą posiadały uprawnienia zawodowe. Ogniska plastyczne i ogniska muzyczne winny natomiast być oparte z jednej strony o normalne szkoły ogólnokształcące, z drugiej — o Związki Zawodowe i Samopomoc Chłopską i funkcjonować jako metodyczne ośrodki pracy świetlicowej.

W tych warunkach szkolnictwo średnie i niższe przekształcone zostanie w normalne szkolnictwo zawodowe, typu dwóch stopni (siedem lat i cztery). Całe więc szkolnictwo plastyczne, muzyczne i choreograficzne — z wyjątkiem szkolnictwa filmowego i teatralnego, gdzie w typie szkół średnich będą istnieć tylko licea fotograficzne oraz licea technik filmowych i teatralnych — stanie się szkolnictwem opartym na zasadach normalnego szkolnictwa zawodowego. Zostało to uzgodnione z Ministerstwem Oświaty, jak również z Centralnym Urzędem Szkolnictwa Zawodowego. Wstępne wspólne zarządzenia zostały już wydane z początkiem roku 1949-50.

Oczywiście w szkolnictwie muzycznym proces reorganizacji będzie paroletni. Z jednej strony przez powołanie do życia niższych klas licealnych, z jednoczesnym przystosowaniem wieku młodzieży do typu szkół zawodowych, z drugiej — przez włączenie dotychczasowej sieci niższych szkół do szkół zawodowych z nowym określeniem godzin: ogólnokształcących (33 godziny) i zawodowo-branżowych (10 godzin).

Natomiast szkoły dla dorosłych winny ulec przekształceniu bądź na szkoły instruktorskie, bądź na ogniska przy Domach Kultury.

W ten sposób powołuje się do życia z jednej strony zawodowe szkoły ogólnokształcące, z drugiej zaś — kursy instruktorskie, doszkalające kadry dla świetlic i domów kultury. Na stopniu szkół wyższych powołane zostaną do życia odpowiedniki tych szkół w postaci wydziałów pedagogiczno-instruktorskich tego samego typu.

Reforma ta zmienia zasadniczo typ szkolnictwa artystycznego, przywraca mu znaczenie i godność szkolnictwa zawodowego, daje młodzieży uprawnienia już na szczeblu średnim, nie stanowi ślepej branżowej uliczki (uczeń po skończeniu liceum muzycznego czy plastycznego może iść zarówno na medycynę jak do konserwatorium czy akademii plastycznej) i otwiera tym samym szerzej podwoje dla dzieci robotniczych, które przy dotychczasowym elitaryzmie oraz drożyźnie prywatnego szkolnictwa artystycznego nie miały w praktyce możności korzystania z szerokiej stosunkowo, zwłaszcza na Ziemiach Zachodnich, sieci szkół artystycznych.

Jednocześnie reforma szkolnictwa na szczeblu średniego szkolnictwa zawodowego stwarza punkt wyjścia dla reformy szkolnictwa wyższego. Równolegle bowiem do reformy szkolnictwa średniego w całym wyższym szkolnictwie przeprowadzi się zasadę dwustopniowości, realizowaną w chwili obecnej w szkolnictwie wyższym Ministerstwa Oświaty. W ten sposób powstaną czteroletnie studia wyższych szkół artystycznych (na wydziałach pedagogiczno-instruktorskich — trzyletnie), dające uprawnienia zawodowe wyższego stopnia nieakademickiego. Jako akademicka nadbudowa tych studiów powstaną zbiorcze studia aspiranckie dające uprawnienia naukowe i wirtuozowskie.

Wyższe szkolnictwo nieakademickie posiadać będzie z kolei studia unitarne, mocno zresztą zróżnicowane, i okres specjalizacji. Na przykład każdy słuchacz wyższych szkół plastycznych będzie studiował już na pierwszym roku rysunek, anatomię, rzeźbę, malarstwo, kompozycję, elementy architektury i przedmioty ogólnokształcące, na drugim roku w dwóch pionach — rzeźby i malarstwa — propedeutykę przedmiotów technicznych: ceramikę, poligrafikę, gobelin, włókno i tp., oraz przedmioty teoretyczne. Na trzecim roku wybiera specjalizację, przy czym przy wyborze malarstwa lub rzeźby zachowuje elementy przedmiotów technicznych, a wybierając za podstawę specjalizacji przedmiot techniczny, będzie studiował jako przedmiot dodatkowy elementy malarstwa lub rzeźby. To samo dotyczy szkół muzycznych, w których rolę rzeźby i malarstwa odgrywa fortepian, smyczek i wokalistyka, tylko że w wyższych szkołach muzycznych, poprzedzonych jedenastolatką muzyczną, specjalizacja muzyczna zaczyna się już na pierwszym roku. W ten sposób specjalizacja rozszerzona zostaje studiami teoretycznymi i pokrewnymi praktycznymi. Wprowadzona jest również zasada praktyk letnich (plastyka — przemysł), (muzyka — domy kultury, akcje zorganizowane), (teatr — choreografia — scena).

Z kolei teraz akademicka nadbudowa typu aspirantury w ZSRR daje wykształcenie specjalne, o charakterze studium profesorskiego we wszystkich działach specjalizacyjnych (a więc równie dobrze w dziale rzeźby jak ceramiki, fortepianu, kompozycji jak i wokalistyki) oraz wirtuozowskie i naukowe przygotowanie w zakresie muzykologii, teorii, krytyki sztuki, teatrologii, dramaturgii, filmologii itp. Aspirantura posiada charakter zbiorczy dla wszystkich szkół danej branży i umiejscowiona zostaje tylko przy poszczególnych wysoko wykwalifikowanych szkołach. W plastyce Warszawa — Kraków, w muzyce Warszawa, w teatrze — Warszawa, w filmie — na razie tylko typ wyższej szkoły w Łodzi.

W ten sposób łączymy wyższe szkoły plastyczne w Krakowie i w Warszawie z akademiami, w jedną dwustopniową wyższą szkołę nowego typu akademickiego.

W ten sposób realizujemy zasadę dwustopniowości w jednej szkole ograniczając jednocześnie w znacznym stopniu liczbę szkół. W przeciwieństwie jednak do Ministerstwa Oświaty zachowujemy w zasadzie czteroletnie studium wyższe, nie zaś trzyletnie (z wyjątkiem wydziałów pedagogiczno-instruktorskich), a to ze względu na specjalny charakter studiów artystycznych, wymagających dłuższej aklimatyzacji.

Reforma, uwzględniając odrębny profil każdej wyższej szkoły (Wrocław, w plastyce — głównie ceramika, szkło, Katowice — metal i poligrafika, Łódź — gobelin i włókno itp.), (w muzyce: Katowice — przewaga instrumentów i orkiestracji, Warszawa — fortepian, wokalistyka itp.) zachowuje w pełni zasadę drożności od pierwszego stopnia nauczania do ostatniego oraz zasadę drożności od zawodowego do ogólnokształcącego szkolnictwa na stopniu średnim. W ten sposób zrywamy z elitaryzmem szkolnictwa artystycznego i stwarzamy podstawę dla stopniowo przepracowanej reformy programowej, uwzględniającej nowe potrzeby przemysłu oraz nowe zapotrzebowanie społeczne w zakresie muzyki zespołowej, instrumentacji chóralnej oraz instruktorów artystycznych, pracujących w Związkach Zawodowych, Samopomocy Chłopskiej i świetlicach. Pewną odrębność zachowuje tylko szkolnictwo teatralne, które nie posiada stopnia średniego, natomiast podbudowuje się na tym stopniu szkołami - studiami, które opierając się o ruch amatorski będą posiadały drożność w pierwszym rzędzie z szerokim ruchem zespołów amatorskich, a na stopniu szkolnictwa wyższego z okresem specjalizacji. To znaczy, że młody człowiek po złożeniu egzaminu z ukończenia studium teatralnego może wstąpić na trzeci rok specjalizujący go, z pełnymi uprawnieniami studenta szkół wyższych (tzn. bądź na wydział aktorski, bądź reżyserski, bądź operowy, bądź dramaturgiczny). Powyższa zasada w poważnym stopniu pozwoli na zmianę składu socjalnego nowych teatrów i nowych szkół teatralnych.

Tak głęboko sięgająca reforma ustrojowa szkolnictwa artystycznego wymaga jednak zasadniczej mobilizacji wszystkich kadr artystycznych, przede wszystkim zaś mobilizacji ideologicznej. W tych warunkach zarysowała się konieczność zdecydowanego przestawienia wszystkich przedmiotów i pracowni artystycznych na pozycje realizmu socjalistycznego oraz przełamania w szkołach plastycznych chałupnictwa użytkowego i artystycznego tradycjonalizmu. Wiąże się to z zasadą szerokiej rozbudowy przedmiotów typu rysunku, anatomii, chemii, fizyki, kompozycji brył i płaszczyzn, architektury oraz — w muzy-

(Dokończenie na str. 7)

*) w tym jedna niepaństwowa jak dotąd (Wyższa Szkoła Filmowa)

JERZY ZAGÓRSKI

NOWE WIERSZE

IDEA

Jak udźwignie twoje sumienie
Pracę, która bez ciebie
Ponad głowę twoją urasta?

Na mostach ludzie i cienie,
Słupy dymów stoją w niebie
I wzrok cieszą odświeżone miasta.

Dołem żywiołów ujarzmienie,
Górą wiechy na dachach. Przebiegł
Tamtędy samolot entuzjasta.

Od Oboźnej, Bednarskiej idź ścieżką
Wśród kraterów starego Powiśla:
Biwak nędzy tam i chwastów gęstwa.

Wtem... dzień biały!... Widzisz to miasteczko?
Kto kolory ścianom tym obmyśla?
Skąd artyści wzięli barw następstwa?

— A z tej Wisły, moja ty owieczko,
Z chmur o zmierzchu, z jesieni w liściach,
Z kobiet spojrzeń, z wdzięku i męstwa.

A skąd rzeka kolory bierze
Takie żółte, ceglane, liliowawe
O wieczorze najbardziej bogatym?

— Pewnie z nieba, które w ofierze
Niesie złotych wieczorów zastawę
Zjazdem, Trasą i Nowym Światem...

A skąd niebo? Słoneczne talerze
Skąd? — Ze światła, co w tobie jest nawet,
Z tego światła, które jest ci bratem.

CZYN

Kamienni malcy przy fontannie
Oto się wasz wypełnia czyn
I kiedyś przy was jeszcze stanie
Prawnuk jak teraz stoi syn.

Czas na piaskowcu rysy zmaże,
W granicie gładziej ścmi się brew
I ponasyca proch cmentarze
Tych, którym dzisiaj dzwoni krew.

Ze szkoły dzieci przejdą zgrają,
Bystrych stuleci mignie twarz.
Dłużej niż ziemia nie wytrwają
Pomniki, dzierżąc swoją straż.

Ale w tej chwili, w której dłuto
Śmiech nałożyło kamieniowi,
Jakby skrzypcowy klucz wykuto
Tym nutom, które ufność łowi.

W chłodnym kamieniu jest muzyka,
Rzeźwe strumienie wiąże w sznur,
A radość, która z dzieł wynika,
Tym co podążą daje wzór.

Niedoceniony wieku! Tony
Słyszę już twoje. Skoro tak
Świat się podnosi rozburzony,
Nie brak stuleciu pięknych flag!

MARZENIE

Gdybym był hej malarzem,
To bym tu każdy krzak
Jak ojciec Nikifor każe
Na papier chropawy kładł.

Gdybym był hej muzykiem
To bym jak synkop most,
Jak szmer strumieni i cykad
Wszedł w kompozycji sto.

Gdybym był hej murarzem
Sięgnąłbym mocnych szczebli,
Gdybym był hej kucharzem
To byście dobrze jedli.

Lecz że nie jestem malarzem,
Lecz że nie jestem muzykiem,
Lecz że nie jestem murarzem,
Kucharzem ani kuchcikiem.

Ludzi spotkanych twarze
I ciżbę przyrody pstrą
Pióro mi moje każe
Zamykać w pierścieniu strof.

POETYKA 1949

Imię moje jest świeżość. Ja, gdy dotknę słowem
To tak jakbyś skrzypkowi dawał smyk do ręki,
I piękne robotnice tańczą jak królowe
W takcie mej bezimiennie biegnącej piosenki.

Jak Muza w „Onieginie" Kotlarczyka sceny
Uśmiecham się, przez żółtą mgłę krakowską patrzę,
Stąpam, jak konie nocy ponad snem Alkmeny
W „Amfitrionie" Moliera w Marigny teatrze.

Ale jestem i także w tym kurzu puszystym,
Co szynel patynuje znużonych żołnierzy,
Bo nie tylko skryptowi Bacha - organisty,
Lecz i młotom górników miłość się należy.

Spiżowa mody siostra, wyobraźni córka,
Trwała jako lamparty wykute w kamieniu,
A tak wielce kapryśna jak tygrysia chmurka,
Gdy znika szybko płynąc w księżycowym cieniu.

WĘDRÓWKA

Chmur człekokształtnych głowy płyną.
Cóżeście chmury oglądały
Nieistniejącym okiem swym?

Czy tylko rzek pętlicę siną,
Czy tylko miast zburzonych skały,
Wojnę i pomstę, mord i dym?

Pytającemu z nieba kamyk
Lekki, niewielki, porowaty
Nie raniąc głowy musnął skroń,

Więc pytający przez chmur bramy
W płynne, ciekące patrzy światy,
Co nieba kryją głąb i toń.

A tu gałęzie walczą drzewek,
Wieczór zapala igły krwawo,
Pryska jak w hutach ciekła stal,

Gdy opuchniętą nogę trzewik
Pod ludzko-głowych chmur wystawą
Pod dekoracje zaniósł Alp.

Wapienny deszcz na głowy pada.
Owoce pył od gruzu pokrył,
Ale przechodzień w krzyku trwa.

Ciężkich obłoków nowe stada,
Podbite cieniem gęstej ochry
Idą jak czas, jak tłum, jak kra.

Zwycięstwo pracy nad żywiołem,
Muzyk nad zgiełkiem, miast nad skałą
W twoim sumieniu także drży.

Patrz w przyszłość ludów z ufnym czołem.
Gdyby się światu przegrać miało
To byś już dawno milczał ty.

Kraków, we wrześniu 1949.

GUSTAVE FLAUBERT

Przekład WACŁAWA ROGOWICZA

BOUVARD I PECUCHET

Fragment z rozdziału IX powieści

Pewnego dnia, gdy proboszcz wracał z Sassetot, gdzie dysponował kogoś na śmierć, Pécuchet wyszedł naprzeciw niego na drogę, aby rozmowę uczynić nieuniknioną.

Było to wieczorem, pod koniec sierpnia. Szkarłatne niebo pociemniało i utworzyła się dużo chmura, równa w dole, kłębiasta na szczycie.

Pécuchet z początku mówił o rzeczach obojętnych; potem wsunąwszy słowo męczennik:

— Ilu, sądzi ksiądz, ich było?

— Ze dwadzieścia milionów co najmniej.

— Ich liczba nie jest tak wielka, mówi Origenes.

— Origenes, wie pan, jest podejrzany!

Silny zryw wiatru przeszedł, pochylając trawę przydrożną i dwa rzędy młodych wiązów aż po kraniec horyzontu.

Pécuchet mówił dalej:

— Zalicza się do męczenników wielu biskupów galijskich, zabitych przy stawianiu oporu barbarzyńcom, co już nie należy do rzeczy.

— Czy pan będzie bronił cesarzy?

Zdaniem Pécucheta, oczerniono ich.

Historia tebańskiej legii[1]) jest bajką. Kwestionuję również Symforoza i jego siedmiu synów, Felicytę i jej siedem córek, i siedem dziewic z Ancyry[2]), skazanych na zgwałcenie, choć miały po siedemdziesiąt lat, i jedenaście tysięcy dziewic świętej Urszuli, której jedna towarzyszka nosiła imię *Undecemilla*[3]), imię wzięte za cyfrę; tym bardziej dziesięciu męczenników z Aleksandrii!

— Jednakże!... Jednakże znajdują się oni u autorów godnych wiary.

Spadły krople deszczu. Proboszcz otworzył parasol; i Pécuchet, gdy znalazł się pod nim, ośmielił się twierdzić, że katolicy więcej zrobili męczenników wśród Żydów, muzułmanów, protestantów i wolnomyślicieli niż wszyscy Rzymianie ongiś.

Duchowny oburzył się:

— Przecież liczymy dziesięć prześladowań chrześcijan od Nerona do cezara Galby[4]).

— No, to co! a rzezie Albigensów?[5]) a noc św. Bartłomieja?[6]) a odwołanie Edyktu Nantejskiego?[7])

— Ekscesy niewątpliwie pożałowania godne, ale nie będzie pan porównywał tych ludzi ze świętym Szczepanem, świętym Wawrzyńcem, Cyprianem, Polikarpem, mnstwem misjonarzy.

— Przepraszam! przypomnę księdzu Hipatię[8]), Hieromina z Pragi[9]), Jana Husa, Giordana Bruno[10]), Vaniniego[11]), Ananiasza de Bourg![12])

Deszcz się wzmógł i jego promienie prażyły tak ostro, że odskakiwały od ziemi niby małe białe race. Pécuchet i ksiądz Jeufroy szli powoli, przyciśnięci do siebie, i proboszcz mówił:

— Po okropnych katuszach rzucano ich do kotłów!

— Inkwizycja też używała tortur i paliła niezgorzej.

— Znakomite damy umieszczano w lupanarach!

— Sądzi ksiądz, że dragoni Ludwika XIV[13]) byli przyzwoici?

— I niech pan weźmie pod uwagę, że chrześcijanie nie występowali wrogo przeciw państwu!

— Hugonoci również!

Wiatr pędził, wymiatał deszcz z ziemi w powietrze. Trzepał po liściach, płynął strumieniem po brzegach drogi, a niebo koloru błota zlewało się z nagimi polami, bo już było po żniwach. Nigdzie ani kawałka dachu. Tylko w dali szałas pasterza.

Nędzny paltot Pécucheta nie miał już suchej nitki. Woda lała mu się wzdłuż kręgosłupa, dostawała się do butów, do uszów, do oczów, mimo daszku czapki Amorosa; proboszcz, podnosząc ręką dół sutanny, odsłaniał sobie nogi, a rogi trójgraniastego kapelusza wypluwały mu wodę na barki jak katedralne gargulce[14]).

Trzeba było się zatrzymać, i odwracając się tyłem do burzy, stali naprzeciw siebie, brzuchem przy brzuchu, trzymając czterema rękami wydzierający się parasol.

Ksiądz Jeufroy nie przerwał swej obrony katolików.

— Czy oni krzyżowali pańskich protestantów, jak był ukrzyżowany święty Symeon, lub rzucali człowieka na pożarcie dwóm tygrysom, jak się stało ze świętym Ignacym?

— A czy ma w pańskich oczach jakąś wagę tyle kobiet odłączonych od mężów, tyle dzieci wyrwanych matkom! A wygna-

nie biednych w śnieżyce, śród przepaści! Trzymano ich stłoczonych w więzieniach; a ledwie skonali, wleczono ich trupy po ziemi na kratach[15]).

Ksiądz roześmiał się szyderczo:

— Pozwoli mi pan nic a nic temu nie wierzyć! A nasi męczennicy są mniej wątpliwi. Święta Blandyna została wydana na-

[1]) Tebańska legia — według podania oddział z samych chrześcijan, przysłany ze Wschodu cesarzowi rzymskiemu Maksymianowi, panującemu wspólnie z Dioklecjanem. Za odmowę brania udziału w prześladowaniu chrześcijan została wycięta w pień w r. 303.

[2]) Starożytna nazwa dzisiejszej stolicy Turcji, Ankary.

[3]) *Undecim* — jedenaście (łac.) *mille* — tysiąc.

[4]) Następcy Nerona.

[5]) Sekciarzy chrześcijańskich wytępionych przez wielką wyprawę krzyżową 1209—1229.

[6]) Rzeź hugonotów w Paryżu 1572.

[6]) Rzeź hugonotów w Paryżu w r. 1572.

[7]) Przez Ludwika XIV. Edykt ten wydany przez Henryka IV w r. 1589 nadawał hugonotom swobodę wyznawania ich wiary (protestanckiej).

[8]) Hipatia z Aleksandrii, córka matematyka Theona (370—415); nauczała filozofii w Aleksandrii; zamordowana przez fanatyków chrześcijan.

[9]) Organizator ruchu reformacyjnego w Czechach, spalony na stosie w r. 1416.

[10]) Filozof włoski, panteista (1548—1600); spalony w Rzymie jako heretyk.

[11]) Lucillo Vanini, filozof i wolnomyśliciel włoski (1584—1619); oskarżony o ateizm, spalony na stosie w Tuluzie.

[12]) Anne du Bourg, sędzia francuski, radca Trybunału Najwyższego w Paryżu, zalecał pobłażliwość w stosunku do protestantów; spalony w r. 1559.

[13]) Gorliwi prześladowcy protestantów po odwołaniu Edyktu Nantejskiego w r. 1685 (haniebnej pamięci „dragonady").

[14]) Wyloty rynien na dolnej krawędzi dachu gotyckiej budowli, pierwszy raz zastosowane w XII wieku.

[15]) Poniewieranie zwłok protestantów podczas prześladowań za Ludwika XIV.

ga w sieci na pastwę wściekłej krowy. Święta Julia zginęła pod ciosami. Świętym Tarakowi, Probusowi i Andronikowi wybito zęby młotkiem, podarto boki żelaznymi zgrzebłami, przebito dłonie rozpalonymi do czerwoności gwoździami, zdarto skórę z czaszki.

— Ksiądz przesadza—rzekł Pécuchet.— Śmierć męczenników była w owych czasach przesadą retoryczną.

— Jak to retoryczną?

— No tak! tymczasem ja opowiadam księdzu dzieje. Katolicy, w Irlandii, rozpruwali brzuchy brzemiennym kobietom, żeby wziąć ich dzieci!

— Nigdy!

— I dać je świniom!

— Co też pan gada!

— W Belgii, zakopywali je do ziemi żywcem!

—Co za żarty!

— Zachowały się ich nazwiska!

— A mimo wszystko — przeciwstawił swoje zdanie ksiądz — nie można ich nazywać męczennikami. Nie ma męczenników poza Kościołem.

— Jeszcze słówko. Jeżeli wartość męczeństwa jest zależna od doktryny, w jaki sposób mogłoby ono służyć do wykazania doskonałości tej doktryny?

Deszcz ustawał; aż do wsi nie odzywali się już do siebie.

Ale na progu plebanii, ksiądz rzekł:

— Żal mi pana! prawdziwie żal mi pana!

Pécuchet zaraz opowiedział Bouvardowi swój spór.

Ta scysja wywołała w nim jakąś antyreligijną niechęć i w godzinę potem, siedząc przy ogniu z chrustu czytał książkę „Proboszcz Meslier". Zawarte tam tępe przeczenia zraziły go; potem, wyrzucając sobie, że być może nie poznał się na bohaterach, przejrzał w „Żywotach świętych" dzieje najsłynniejszych męczenników.

Jakież wrzaski ludu, gdy wchodzili na arenę cyrku! i jeżeli lwy i jaguary były zbyt łagodne, skazańcy gestem i głosem podjudzali je. Widziano ich zalanych krwią, jak stojąc uśmiechali się wpatrzeni w niebo; święta Perpetua związała rozpuszczone włosy, by nie wyglądać na strapioną. Pécuchet pogrążył się w rozmyślania. Okno było otwarte, noc spokojna, błyszczało dużo gwiazd. Musiały w duszach tych ludzi dziać się rzeczy, o których nie mamy już wyobrażenia, radość, spazm boski! I Pécuchet, marząc uporczywie o tym, powiedział, że to rozumie, robiłby to samo co oni.

— Ty?

— Na pewno.

— Nie blaguj! Wierzysz, tak czy nie?

— Nie wiem.

Zapalił świecę; potem wzrok jego padł na krucyfiks w alkowie:

— Iluż nieszczęśników uciekało się do tamtego męczennika!

I po chwili milczenia:

— Skażono jego obraz! to wina Rzymu: polityka Watykanu!

Ale Bouvard podziwiał Kościół dla jego wspaniałości i pragnąłby w średniowieczu zostać kardynałem.

— Dobrze bym wyglądał w purpurze, gadaj co chcesz!

Kaszkiet Pécucheta postawiony przed węglami na kominku jeszcze nie wysechł. Rozciągając go poczuł coś twardego w podszewce, i wypadł stamtąd medalik ze św. Józefem. Byli zmieszani, fakt wydawał im się niepojęty!

Pani de Noares chciała dowiedzieć się od Pécucheta, czy nie doznał jakby pewnej zmiany w sobie, szczęścia, i zdradziła się swymi pytaniami. Pewnego razu, gdy grał w pałacu w bilard, wszyła mu medalik do czapki.

Najwidoczniej kochała się w nim; mogli byli się pobrać: była wdową, a on nie podejrzewał tej miłości, która być może stałaby się szczęściem jego życia.

Choć okazał się bardziej religijny niż pan Bouvard, poświęciła go świętemu Józefowi, którego pomoc przy nawracaniu się jest wyborna.

Nikt tak jak ona nie znał się na wszystkich różańcach i odpustach, jakie są z nimi związane, na skutkach wywoływanych przez relikwie, na przywilejach cudownych wód. Zegarek jej wisiał na łańcuszku, który dotknął oków świętego Piotra.

Wśród jej breloków połyskiwała złota perła, imitacja tej, która zawiera, w kościele w Allouagne, łzę Pana Naszego Jezusa Chrystusa; w pierścionku na małym palcu były włosy proboszcza z Ars, a ponieważ zbierała zioła dla chorych, pokój jej przypominał zakrystię i oficynę aptekarską.

Czas spędzała na pisaniu listów, odwiedzaniu biednych, rozwiązywaniu bezślubnych małżeństw, rozpowszechnianiu fotografii Serca Jezusowego. Pewien pan miał jej przysłać „pastę męczenników", mieszaninę wosku ze świec wielkanocnych i prochów ludzkich wziętych z katakumb, której używa się w wypadkach beznadziejnych jako plastra lub w pigułkach. Obiecała dać tego lekarstwa Pécuchetowi.

Raził go taki materializm.

Wieczorem lokaj przyniósł mu pełny kosz broszur, gdzie przytaczano pobożne słowa wielkiego Napoleona, zręczne powiedzonka proboszcza w oberżach, opowiadano o grozę budzących wypadkach śmierci bezbożników. Pani de Noares umiała to wszystko na pamięć wraz z całą masą cudów.

Cytowała cuda głupie, bezcelowe, jak gdyby Bóg je sprawił po to, żeby ludzie wzruszali ramionami. Jej babka schowała suszone śliwki do szafy między bieliznę, i gdy w rok potem szafę otworzono, ujrzano na obrusie trzynaście śliwek tworzących krzyż.

— Proszę mi to wytłumaczyć.

To było jej ulubione słowo po historiach, których broniła z uporem oślicy, dobra zresztą baba i wesoła.

Pewnego razu jednakże „wyszła ze swego charakteru". Bouvard kwestionował jej cud w Pezilla: kompotierka, w której schowano hostie podczas Rewolucji, sama z siebie pozłociła się.

— Może było tam na dnie trochę żółtego koloru pochodzącego z wilgoci?

— Ależ nie! powtarzam panu, że nie! Pozłota powstała wskutek zetknięcia się naczynia z Eucharystią.

I jako dowód podała świadectwo biskupów.

— To jest — mówią oni — jak gdyby tarcza, pa...palladium[16]) dla diecezji Perpignan. Niech pan spyta księdza Jeufroy!

Bouvard nie mógł dłużej wytrzymać i, ponownie przejrzawszy swego Ludwika Hervieu, zabrał ze sobą Pécucheta.

Duchowny kończył obiad. Regina podała fotele i na gest gospodarza poszła po dwa kieliszki, które napełniła rosolisem[17]).

[16]) Świętość, obrona przed złem.

[17]) Likier wyrabiany pierwotnie we Włoszech *(Rosoglio)*.

Po czym Bouvard wyłożył, co go sprowadza.

Ksiądz nie odpowiedział otwarcie.

— Wszystko jest możliwe dla Boga, a cuda są dowodem religii.

— Jednakże są prawa.

—To nic nie znaczy. On je przewraca, żeby pouczać, naprawiać.

— Skąd ksiądz wie, czy przewraca? — zareplikował Bouvard. — Póki natura idzie swoją utartą drogą, o tym się nie myśli; ale niech się zdarzy zjawisko nadzwyczajne, zaraz widzimy w tym rękę Boga.

— Może w tym być — rzekł kapłan — a gdy jakieś wydarzenie jest potwierdzone przez świadków...

— Świadkowie dają się nabrać na wszystko, bo są fałszywe cuda!

Ksiądz poczerwieniał.

— Zapewne... czasami.

— Jak je odróżnić od prawdziwych? I jeżeli prawdziwe, podawane jako dowody, same potrzebują dowodów, to po co je robić?

Regina wtrąciła się i głosząc to co jej pan, powiedziała, że należy być posłusznym.

— Życie jest przelotne, ale śmierć jest wieczna!

— Słowem — dodał Bouvard pociągając rosolis — cuda z czasów zamierzchłych nie są lepiej dowiedzione niż cuda dzisiejsze; analogiczne racje bronią chrześcijańskich i pogańskich.

Proboszcz cisnął widelec na stół.

— Tamte były fałszywe, raz jeszcze mówię! Nie ma cudów poza Kościołem!

— Hm! — powiedział sobie Pécuchet — ten sam argument co dla męczenników: doktryna opiera się na faktach a fakty na doktrynie.

Ksiądz Jeufroy, wypiwszy szklankę wody, ciągnął dalej:

— Przecząc cudom, jednocześnie wierzycie w nie. Świat nawrócony przez dwunastu rybaków, oto, zdaje mi się, piękny cud!

— Wcale nie!

Pécuchet dowodził tego w inny sposób.

— Monoteizm pochodzi do Hebrajczyków, Trójca od Indusów, Logos[18]) należy do Platona, Dziewica-matka do Azji.

Cóż z tego! Ksiądz Jeufroy lubował się w nadzmysłowości, nie chciał żeby chrystianizm mógł mieć z ludzkiego punktu widzenia najmniejszą rację bytu, choć widział u wszystkich ludów jego objawy wstępne lub zniekształcenia. Zniósłby szyderczą bezbożność XVIII wieku; ale krytyka nowoczesna, ze swą grzeczną formą, wyprowadzała go z równowagi.

— Wolę bluźniącego ateusza niż sceptyka, który sprzecza się o byle co!

Potem spojrzał na nich prowokująco, jakby ich wypraszał za drzwi.

Gustave Flaubert

[18]) Logos (Słowo) — jako termin filozoficzno-religijny oznacza emanację Boga, pośrednika między Bogiem a światem; zależnie od ściślejszych pojęć, jakie wyraża, nosi nazwę bądź „Mądrości", bądź „Słowa".

JAN Z. JAKUBOWSKI

GABRIELA ZAPOLSKA

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

IV

OBRAZ życia społecznego w utworach Zapolskiej sprowadza się ostatecznie do koncepcji darwinowskiego prawa walki o byt. Prawo to przenosiła Zapolska w życie ludzkie, rezygnując tym samym z właściwej, społecznej i historycznej oceny postępowania bohaterów. W świecie menażerii ludzkiej toczy się nieustanna, biologiczna walka. Zapolska ukazywała niejednokrotnie ponury obraz świata, demaskując fałsz moralności ludzkiej. Ale ten obraz świata był nie tylko pesymistyczny, lecz i fałszywy. Pesymistyczny, bo sugerował nieuchronność zła, którego niesposób było zmienić, skoro wiązało się ono z samą istotą życia ludzkiego pojętego jako zwierzęca walka o byt; fałszywy — bo mitologizował postaci Daumów i Dulskich, bo nie ukazywał praw społeczno-historycznych, nie dostrzegał klasowego uwarunkowania moralności ludzkiej. Jest to w istocie obraz świata bardzo uproszczony, odbiegający zasadniczo od faktycznego stanu rzeczy, i dlatego literatura wyrosła z naturalistycznego pojmowania rzeczywistości nie mogła dać należytej satysfakcji estetycznej i intelektualnej. Dostrzegli to nawet ci, których ideologia nie zawierała właściwych kryteriów oceny rzeczywistości społecznej.

Ten uproszczony, schematyczny obraz rzeczywistości społecznej pełnił przede wszystkim funkcję demaskatorską. To był najistotniejszy sens społeczny zarówno powieści, jak i utworów dramatycznych Zapolskiej. Zbliżało ją to — mimo zasadnicze różnice ideologiczne — do socjalistycznej publicystyki na przełomie wieków XIX i XX, demaskującej fałsz różnych mitów mieszczańskich, w szczególności mitu o solidarności społecznej. Zwraca uwagę analogia, jaką można zauważyć między światem kołtunerii, między bogatą galerią menażerii ludzkiej, jaką z satysfakcją kreśliła Zapolska, a charakterystyczną typologią, jaką w tym samym czasie demonstrował pisarz o zdecydowanie postępowym obliczu, Wacław Nałkowski, gdy odróżniał poza ludźmi o bogatym życiu wewnętrznym — następujące grupy ludzkie: „ludzie-byki", „ludzie-drewna" i „ludzie-świnie". Pisał Nałkowski m. in.: „Ludzie-świnie — to siły marne, filistry najgorszego gatunku, których właściwym życiem jest błoto... są oni wstrętnym, hańbiącym balastem w pochodzie ludzkości... ludzie-drewna są może najszkodliwszymi ze wszystkich. Podczas gdy bowiem ludzie-byki nie są zbyt lubiani, z ludzi świń wszyscy niemal podkpiwają sobie potrosze, to ludzie-drewna, dzięki swej fachowości, uczciwości i neutralności („wytrawności") mają, u nas zwłaszcza, na opinię wpływ przeważający: są to ludzie „solidni".[1])

Nałkowski dostrzegał jednak — mimo tej w duchu epoki utrzymanej stylizacji antyfilisterskiej — istotne sprężyny losów ludzkich w ustroju kapitalistycznym. We wstępie do swej książki *Ziemia i człowiek* pisał:

„Zrozumiałem, że obecny grunt społeczny, zwłaszcza u nas, to pole zachwaszczone, na które rzucać bezpośrednie ziarna wiedzy jest to je marnować: bo i ziarna te, produkowane i rzucane resztkami sił, będą słabe, i grunt dla ich wzrostu — nieodpowiedni. Zrozumiałem, iż należy wprzód chwasty z korzeniami wyrwać i grunt ten przeorać pługiem krytyki społecznej, którego żelazo zostało zahartowane w ogniu doświadczeń i zawodów..."[2])

Dla Zapolskiej „kołtun", „filister" — to były pojęcia psycho-biologiczne. Naturalistyczna koncepcja człowieka i rzeczywistości społecznej pozwalała jej trafnie ukazywać raczej ramy i fenomeny życia — świat realiów w jej utworach jest żywy i plastyczny — niż jego mechanizm. Stąd fałszywe proporcje społeczne — wyolbrzymienie historycznej roli dulszczyzny — i słabości artystyczne jej utworów.

Z naturalistycznej koncepcji życia wyrastała bowiem naturalistyczna poetyka: p r y m a t o p i s y w a n i a p r z e c i ę t n o ś c i, p r z e k r o j u, d o m i n o w a n i e o p i s u r e j e s t r u j ą c e g o. „Jadę do Paryża umyślnie przez Kraków — pisała Zapolska do redaktora *Przeglądu Tygodniowego* — bo tam mam kuzyna na wydziale medycznym, który ułatwi mi wstęp do szpitala, pokaże umierającą kobietę, dostarczy książek, a zwłaszcza objaśni w niezmiernie trudnej kwestii powieszenia się klęczącej. Tu pomimo usiłowań nic zrobić nie mogę — chciałam otrzymać wstęp do szpitala w chwili agonii, odpowiedziano mi odmownie — szukałam medycyny sądowej, znalazłam tylko rosyjską... Agonia i śmierć jednej z pensjonarek, koniec umierającej na suchoty powstałe z błednicy, histeryczne epilepsje epidemiczne owładające całą pensję, po czym owo finalne powieszenie się na klamce mogą zrobić olbrzymie wrażenie, muszą jednak być tak umiejętnie zrobione, z taką prawdą, z takimi szczegółami, że powinny zadziwić wszystkich".[3])

To zwierzenie autorki jest niewątpliwie typowe dla techniki pisarza naturalistycznego. „Ja biorę wszystko — wyznawała Zapolska w innym miejscu — wszystko, co jest pod ręką..."[4]) W tym oświadczeniu była wielka słabość naturalizmu: rejestracja spostrzeżeń nie wyjaśniała świata.

Zapolska była w zasadzie wierna doktrynie naturalistycznej (jej zarówno światopoglądowym tezom jak i związanej ściśle z nimi poetyce), sprowadzającej prawdę o życiu i człowieku do odtwarzania przeciętności, do rejestracji obserwacji, do opisu doznań psychofizycznych. Próby uzupełnienia tych światopoglądowych i artystycznych założeń naturalizmu — bez rezygnacji wszakże z samej doktryny — dawały efekt chybiony. Obok umiejętnie zrobionych opisów „z takimi szczegółami, że powinny wszystkich zadziwić", powstawały sceny o charakterze retorycznym i melodramatycznym, w których autorka wypowiadała bezpośrednio sądy o życiu, moralizowała i gromiła. Były to właśnie te krzykliwości, które tak słusznie raziły zarówno Chmielowskiego, jak Brzozowskiego i Irzykowskiego. Widać tu było zasadnicze potknięcie artystyczne naturalizmu: z nagromadzonych opisów i obserwacji (zgodnie z zasadą rezygnowania z selekcji: — „...ja biorę wszystko...") nie wyrastałą artystyczna całość, która byłaby zarazem jakąś określoną konstrukcją oceniającą, interpretującą sens owych nagromadzeń. Tyle razy wytykane Zapolskiej efekty melodramatyczne, krzykliwość, braki intelektualne — to była konsekwencja poetyki naturalistycznej, która — deprecjonując najpiękniejsze tradycje wielkiej literatury mającej zawsze ambicje oceny postępowania człowieka — widziała najważniejsze zadanie pisarza w rejestrowaniu spostrzeżeń. Dołączony komentarz autorki zawierający ocenę (Zapolska czyniła to często) nie wyrastał w istocie z ideologicznej koncepcji i artystycznej struktury utworu. Powstawały w ten sposób zlepki estetycznie raczej chybione, połączenia naturalistycznych obrazów ze „społecznymi" komentarzami, których artystyczną i intelektualną wartość musieli kwestionować także najwięksi entuzjaści pisarki (Krzywicka), gdy czytali np.: „Jak bożyszcze dziwaczne i obojętne stała ta dziewczyna na piedestale rosnącego posagu ukutego z nadwartości i poruszając wachlarzem, czekała na męża".

Braki artystyczne pisarstwa Zapolskiej widoczne są w większości jej powieści. Utwory dramatyczne wykazały większą siłę przetrwania. Oparte w zasadzie na tej samej naturalistycznej koncepcji człowieka, co powieści wyrosłe z tych samych uwarunkowań społecznych, zachowały one w swojej strukturze rodzajowej znamiona trwalszej świeżości artystycznej.

V

Najlepsze sztuki Zapolskiej (z wyjątkiem *Żabusi*) powstają w latach 1907—1912. Jest to więc w Polsce — po niedawnych jeszcze triumfach teatralnych Wyspiańskiego, Jana Augusta Kisielewskiego, po wydaniu najgłośniejszych sztuk Stanisława Przybyszewskiego, jak *Taniec miłości i śmierci* (*Złote runo, Goście* — 1902), *Śnieg* (1903), *Śluby* (1907) — okres powstawania dramatów Tadeusza Rittnera: *W małym domku* (1904), *Głupi Jakób* (1910). W dramacie europejskim jest to jeszcze żywe oddziaływanie zarazem Ibsena, Wagnera i Maeterlincka (we Francji w szczególności jeszcze — Théâtre libre Antoine'a, de Curela, Hervien, Brieux). Jest to — ujmując najogólniejszy sens społeczny ówczesnego rozwoju dramatu — próba nasycania mieszczańskich konfliktów obyczajowych elementami tragizmu (Ibsen, de Curel). Jest to coraz silniejsze (w wyniku wyraźnie występujących schorzeń w panującym ustroju i mieszczańskim poglądzie na świat) przenikanie do motywacji dramatycznej czynników irracjonalnych (Maeterlinck, u nas np. Przybyszewski).

Jak w tym kontekście przemian w ideologii i strukturze dramatu mieszczańskiego przedstawiała się sprawa Zapolskiej?

W twórczości Zapolskiej w ogóle nie brak prób tragizowania problematyki obyczajowo-moralnej. Dla naturalistycznej koncepcji losu ludzkiego szukała Zapolska — zgodnie z epoką — swoistego uwznioślenia w koncepcjach metafizycznych. Widoczne jest to przede wszystkim w niektórych nowelach i powieściach. Symboliczny jest tu tytuł: *A gdy w głąb duszy wnikniemy* (1907). To schodzenie „w głąb duszy" było znamienne dla ewolucji całej literatury naturalistycznej, wyrażającej niepokój myśli mieszczańskiej, dla „pisarzy — jak już ich określono — rozgoryczenia, znaków zapytania, niepokojów, niejasności"[5]) (na tej drodze pisarze naturalistyczni tak łatwo łączyli się z pisarzami modernistycznymi). W praktyce powieściopisarskiej — jak była o tym mowa — to metafizyczne tragizowanie problemów społeczno-moralnych, zamazywanie ich właściwego źródła, prowadziło do wielu melodramatycznych i retorycznych uzupełnień, jakimi autorka „pogłębiała" naturalistyczne opisy przeciętności. W utworach dramatycznych — przynajmniej w tych najwybitniejszych — Zapolska, ulegając zasadniczej tendencji dramatu mieszczańskiego do tragizowania problematyki obyczajowej, zachowała (widoczne jest to szczególnie w porównaniu np. z Kisielewskim, Przybyszewskim czy nawet Rittnerem) naturalistyczną konkretność, przewagę żywych obserwacji nad elementami retoryki i melodramatu. Jak bliska była jednak Zapolska tej znamiennej dla dramatu mieszczańskiego ewolucji do symbolizmu, świadczy np. *Ich czworo*. Ta najbardziej zwarta, lapidarna sztuka Zapolskiej poprzedzona jest poetyckim, młodopolskim prologiem, gdzie fantastyczna zjawa Mandragora mówi: „Ja jestem ludz-

[1]) „Forpoczty", r. 1895.

[2]) r. 1901.

[3]) Cyt. za M. Romankówną, „Prace polonistyczne", seria II, Łódź, 1938.

[4]) Wstęp do „Kaśki Kariatydy".

[5]) Stefan Żółkiewski. „Nowiny Literackie", r. 1948, nr 26 („Zwierciadło naturalizmu polskiego").

STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ

GENERAŁ KOMUNY*)

PODZIEMNE NURTY

KSIĄDZ Kazimierz Żuliński bystro wpatrzył się w wymizerowaną, pocentkowaną przez ospę twarz Wróblewskiego i zapytał:

— Powiedz mi pan wyraźnie i szczerze — ku czemu dążycie?

— Wiem, ku czemu ja sam dążę — odrzekł nieco zaskoczony pułkownik. — Nie wiem, kogo ksiądz ma na myśli więcej...

— No, pan i Jarosław Dąbrowski, Tokarzewski, Jarmund i kilkunastu innych. Chcę wiedzieć — mam przecież do tego prawo. My...

— I ja chcę wiedzieć — rzekł chrapliwie generał Waligórski, również obecny przy tej rozmowie, która dla Wróblewskiego stała się pamiętna i ważna. Jakże często inni ludzie są potrzebni po to, żeby wywołać na powierzchnię myśli, od dawna tkwiące w człowieku!

Było to już wiele lat po powstaniu. Powstańcy 1863 r. ściągali do Paryża jeden po drugim, niczym zbierające się do wspólnego powrotu ptaki wędrowne. Kolejno nawarstwiały się tu polskie emigracje powstańcze, wytwarzając drobne skupienia o różnym obliczu i nie mogąc w żaden sposób osiągnąć owej jedności, która marzyła się wielu. A jedność taka wydawała się tutejszym Polakom niezbędna szczególniej teraz, kiedy Prusy pobiły Danię, rozgromiły Austrię i — wydawało się — lada moment zetrą się z cesarską Francją lub może z carem Rosji. Sprawa polska mogła wypłynąć na widownię, tymczasem zaś emigracja polska wciąż daleka była od wspólnoty myślenia i działania.

Ksiądz Żuliński oparł się wygodniej i zaczął mówić głosem łagodnym i jakby perswadującym, gestem ręki przestrzegając Waligórskiego przed zbyt pochopnym wtrącaniem się do dyskursu:

— Panie Walery, kochany pułkowniku! Wiesz, jak cię lubię i kocham! Wszyscy oddajemy ci należne uznanie, nawet wrogowie twoi cię szanują! Ale tu chodzi o sprawy ważne, o Polskę i o wiarę, musimy więc porozumieć się z całą szczerością. Wiem, że na odwadze do dysput nie zbywa ci tak samo, jak na waleczności bitewnej. Posłuchaj, synu...

Waligórski siedział z wyrazem oskarżycielskim na swej sarmackiej, zażywnej twarzy, oczy zaś wytrzeszczał tak, jakby to mu mogło dopomóc w zrozumieniu ważnych tematów, które miały być poruszone. Ksiądz pożałował przez chwilę, że przyprowadził tu ze sobą właśnie Waligórskiego — taki może popsuć wszystko przez brak wyższego rozumu i popędliwość. Ponadto ksiądz dopiero teraz sobie przypomniał, że przecież Waligórski nie znosi Wróblewskiego, który dłużej niż Waligórski walczył pod Lublinem i opuścił powstanie dopiero po ciężkiej ranie. Waligórski nigdy czegoś podobnego nie daruje, po prostu przez zazdrość zawsze będzie czuł do Wróblewskiego urazę — taki już jest! Ale trudno — rozmowa musiała odbyć się przy świadku. Skoro Waligórski się napatoczył, to niechże siedzi. Wola Boska! Zresztą jego wysoka ranga wojskowa ma także swoje znaczenie...

Odetchnął i ciągnął:

— Chcieliście wybrać takie ciało, które by wsparte ogólnym zaufaniem, mogło słusznie reprezentować naszą emigrację wobec kraju i Europy, które by przewodniczyło całej naszej pracy narodowej i czuwało nad nieskazitelnością imienia polskiego emigranta, tak? Z różnych krajów polskie gminy emigracyjne nadesłały swoje głosy i w ten sposób powstało Zjednoczenie Demokratycznej Emigracji, a do komitetu Zjednoczenia i ja wstąpiłem, bo samą myśl uważałem za zdrową i piękną, bo Towarzystwa Demokratycznego z całkowitą tam dyktaturą Mierosławskiego popierać z wielu względów nie mogłem. Należąc więc z tobą, pułkowniku, z Bosakiem, Dąbrowskim i innymi wybranymi do tego komitetu, już przez to samo dałem dowód mojej dla was przyjaźni, mojego do was zaufania... które pokładałem...

Wróblewski uśmiechnął się blado:

— No i co, księże Kazimierzu? Czy to zaufanie już się skończyło?

Ubogi pokoik mansardowy zaległo milczenie. Przez otwarte okna nieznośnie dawał się we znaki nieustanny turkot wozów i pojazdów, których żelazne obręcze stanowiły prawdziwą zmorę ówczesnego Paryża. Poza tym nieprzerwaną strugą płynęła przez pokój specyficznie paryska woń rynsztokowa — ścieki swobodnie sączyły się środkiem tych wąskich, ubogich uliczek, które obierali sobie poszukujący taniego kąta emigranci.

Żuliński jeszcze raz odetchnął i wyrzucił z siebie:

— Ano, trudno, muszę powiedzieć... Zaufanie moje częściowo utraciłem...

— Sprawa to poważna — odpowiedział Wróblewski. — Należałoby ją na specjalnym zebraniu...

— Uchowaj Boże — krzyknął ksiądz. — Uchowaj Boże, nie na żadnym zebraniu! Ja tylko tak, prywatnie...

— Obecność przy tej rozmowie pana generała Waligórskiego, który do Komitetu nawet nie należy... — zaczął Wróblewski.

Generał zerwał się i sapnął:

— Czy masz, pułkowniku, jakieś zastrzeżenia przeciw mojej tu obecności? W takim razie...

Ksiądz uciszył go i zmusił do zajęcia miejsca.

— Kochany pułkowniku — mówił — ja prywatnie, ale jednocześnie w sprawie ogólnej, polskiej. Obecność generała nie powinna panu wadzić. Znacie się nie od dziś i łączy was — powinno łączyć! — braterstwo broni. Otóż, pułkowniku, racz sam rozważyć...

Z kieszeni sutanny wyjął plik papierów, w których Wróblewski rozpoznał uchwały i odezwy Zjednoczenia Demokratycznej Emigracji. Czyjś czerwony ołówek ostro zaznaczył szereg miejsc, ułatwiając księdzu orientację w tym, co miał mówić dalej.

— Zastanawiam się pułkowniku, cośmy to napisali — i podpisali ostatnio, a co niejednokrotnie budzi pytania ze strony tych, którzy obdarzyli nas swoim zaufaniem, oddając na nas swoje głosy. Odczytuję: „A jeśli lud nie dzielił wszystkich korzyści praw państwa, było to tylko smutnym następstwem wyłączności jednego w narodzie stanu". Czy nie sądzisz, że jednak w ten sposób wypowiadamy się przeciwko stanowi szlacheckiemu, że właśnie mu grozimy? Bo dalej, uważasz: „Naszym dążeniem zatrzeć wszelkie ślady tej wyłączności", i tak dalej. Sam to podpisałem, naturalnie z przekonania, ale teraz zapytują mnie, czy dążymy w przyszłej Polsce do odebrania stanowi szlacheckiemu wszystkiego? I gwałtem?

— A rzecz jasna — odrzekł pułkownik.

— Sam pułkownik, widzę, pod sobą dołki kopiesz! — wykrzyknął generał.

— I mienia i przywilejów wszelakich i... — pytał ksiądz w zamyśleniu.

Wróblewski skinął głową:

— Rzecz jasna — powtórzył — a nade wszystko prawa uważania się za sól narodu, za jego emanację. Jak równość to równość księże kochany, co?

Uśmiechnął się pojednawczo, ale Żuliński był daleki od wesołości.

— A jeśli szlachta i możni... nie oddadzą tego wszystkiego z dobrej woli? To...

— To lud weźmie siłą — odpowiedział Wróblewski.

— Pułkownik będziesz do tego namawiał?

— Z całej siły — odrzekł poważnie Wróblewski.

— Do... walki bratobójczej?

— Dla przerwania krzywd, jakie brat zadaje bratu, i dla dobra ojczyzny! Dla elementarnej sprawiedliwości! Świat się powoli zmienia!

Wróblewski wziął ze stołu jakieś szpargały i zaczął czytać:

— Przemilczmy oburzającą niesprawiedliwość, jaka względem naszych wieśniaków jest stosowana, i barbarzyńskie traktowanie ich batogami, harapami... I dalej: sama tylko wolność nie daje wieśniakowi i jego rodzinie utrzymania... Godne jest pożałowania, że stan obecny wieśniaków naszych zmusza jednych do wychodźstwa do naszych sąsiadów, a innych do zaniechania powrotu... Wszyscy wzdrygają się na myśl o pańszczyźnie, tak miłej w oczach właścicieli. Otóż pisał to — Kościuszko!

— Przecież pańszczyzny już nie ma!

— Ale nędza jednych a przywileje innych zostały. Kościuszko w tym programie urządzenia Polski dodaje, że odmiennego zdania może być tylko egoizm.

— Kościuszko, owszem, chciał tego wszystkiego, ale stopniowo, powoli!

— Proszę księdza, Kościuszko to pisał akurat pół wieku temu i w apelu swoim do Czartoryskiego błagał: „Gdybym ośmielił się wyrzec, że za lat dwadzieścia wszyscy będą wolni i uwłaszczeni"... Prosił, aby szlachta sama oznaczyła termin. Tymczasem, ksiądz wie, lud był ciemiężony nadal, nawet podczas obu powstań. Ja nie chcę zguby Polski, a w taki sposób Polska zginie!

— W razie buntu ludowego łatwiej może zginąć. Cesarze nie zniosą tego!

— Cesarze będą mieli kłopoty ze swoimi ludami.

Waligórski zaczął się kręcić niespokojnie i nie wytrzymał:

— Panie pułkowniku! Motłoch wszędzie i łatwo może narobić zamieszania, ale do gospodarowania ziemią i do rządzenia się nie nadaje! A zresztą nic nie wskóra, przegra z nami!

— Kiedyś lud wreszcie nauczy się rządzić sobą... i innymi — odparł pułkownik, błysnąwszy wesołym okiem. — Trza mu tylko dopomóc!

Ksiądz Żuliński ważył pytanie, które było dla niego najważniejsze. Długo nie słuchał gadek i posądzeń, które krążyły o Wroblewskim i Dąbrowskim, ale teraz wypadało sprawę wyjaśnić ostatecznie. Poczciwość i waleczność pułkownika przemawiała za nim, z Kościuszką mniejsza, to już historia, czy jednak pan Walery nie uległ jakimś zgubnym wpływom nowoczesnym, o które tu nie jest trudno... Odchrząknął, nim zaczął:

— Mówiono mi... pułkowniku, czy znosisz się z tymi, no — socjalistami, komunistami i tym podobnymi? Mają podobno swoją filię w Paryżu... Mówię o tym, jak mu tam— internacjonał, wiesz?

— Szukałem tam przyjaciół — odrzekł bez namysłu Wróblewski. — Na rue des Gravillers... potem przenieśli się na rue de la Corderie. Tak, tam są francuskie kluby robotnicze. Bywam tam. Oni są z nami!

— Główny ich przywódca to Marks, tak? Wypędzony z własnego kraju? Schronił się w Londynie!

— Emigrant, jak my. Dużej miary uczony.

— Nie wierzy w Boga. Wyprowadza wszystko z rozumu.

— Czy to księdza dziwi? — odparł Wróblewski. — Uczony zwykle posługuje się rozumem!

— Ale on wyciąga z tego... Ksiądz nabrał oddechu: — Oni pragną przewrócić na ziemi cały ustalony porządek! Sam czytałem...

— Słusznie! Porządek ustalony — to nic takiego! Zawsze można ustalić nowy, lepszy.

— Ludzie muszą mieć jakąś władzę. Władzę oświeconych.

— Właśnie. Musimy koniecznie podnieść lud do tej zdolności rządzenia się. Taki robotnik tutejszy jak Varlin mógłby już doskonale rządzić.

— Ale po co, na miłość Boską, po co?

— Żeby skończyć z ciemnotą i wyzyskiem większości przez mniejszość. Żeby świat wyglądał bardziej... po Chrystusowemu, jeśli ksiądz chce!

— Czy ludowi to potrzebne?

— Co? Wprowadzenie zasad Chrystusowych?

— Nie wierzysz w możliwość spokojnych przemian? Można przecież stopniowo, perswazją, w miarę dojrzewania tego tam ludu...

— Ha, spróbować zawsze można — odrzekł Wróblewski. — Wcale nie mówię, że nie!

— Ale tamci mówią inaczej!

— Kto wie, czy nie mają racji! Ja również wolałbym uniknąć rozlewu krwi...

Wynikałoby z tego, że pułkownik nie jest ostatecznie zgubiony. Nie jest jeszcze całkowitym zwolennikiem tamtych! Żuliński trochę rozjaśnił twarz. Tymczasem i generał zaczął mówić, mianowicie to, co sobie ułożył w długim namyśle:

— O ile mi wiadomo, pana pułkownika otoczono opieką i dano mu gościnę w Dzikowie u hrabiostwa Tarnowskich. Tam zaleczyłeś swoje rany, tam zaopatrzono cię na drogę. A ty powstajesz teraz na nich!

— Nie na nich specjalnie, tylko na klasę bogaczy. Tarnowscy spełnili swój obowiązek, urundowali szpital dla powstańców. I to w Małopolsce, bez narażania się. A na placu boju podniósł mnie z narażeniem życia ubogi wieśniak. Ja zresztą niczego nikomu nie odmawiam, tylko chcę znieść przywileje. Żadnych praw bez obowiązków, żadnych obowiązków bez uprawnień!

— Tak mówią oni?

— A oni. Wysłałem do nich pismo gratulacyjne, do Szwajcarii, gdzie teraz mają kongres... Polacy muszą być w tym ruchu!

— Pismo... w swoim własnym imieniu?

— Nie, od grupy Polaków sympatyzujących...

— Zna pan pułkownik może tego Marksa?

— Z pism. Oto...

Wróblewski znów wygrzebał z leżącej na stole sterty papierów kartkę, z której przeczytał:

— Bezwstydny poklask, obłudne współczucie i głupia obojętność, z którymi uprzywilejowane klasy w Europie patrzyły na to, że Rosja... zdławiła bohaterską Polskę... Wystarczy wam? Albo: Od powstania krakowskiego w r. 1846 walka o niepodległość Polski jest jednocześnie walką demokracji... To pierwsze pisał w r. 1846, a drugie po powstaniu. Socjaliści francuscy myślą tak samo.

— Czy przyjaźniąc się z nimi nie nadużywasz gościnności?

— Owszem, czuję się tu gościem, ale nie rządu i cesarza, który nas wykiwał. Jestem

Walery Wróblewski

gościem tutejszego ludu. Ten lud obali cesarza, obali nawet burżuazję. Już raz to zrobił.

— Rząd ufa, daje zasiłki...

— Ale ja żyję z własnej pracy, jak księdzu wiadomo; długo byłem ulicznym latarnikiem, teraz nauczyłem się zecerstwa i pracuję w drukarni u Rouge'a...

— Jednakże powinniśmy stać raczej na uboczu od tutejszej polityki, to sprawy wewnętrzne francuskie — wywodził Żuliński.

— A to i sprawa polska ma być wewnętrzną sprawą cara?

— My, to co innego. Byliśmy napadnięci, podbici!

— Proszę księdza! W moim najgłębszym przekonaniu pańszczyzna również wynikła z podboju, z gwałtu.

— Kościół mówi...

— Kościół mówi, że łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi wejść do królestwa niebieskiego! A poza tym papieże potępili oba powstania!

— Kościół uczy pokory! Papież wie, co robi, nie nam go sądzić!

— Ale ludzie mają tej pokory dość! Nie jest rzeczą papieża sądzić nas za nasze najświętsze wysiłki i ofiary! On trzyma z cesarzami, nie z ludem!

— To już wolałbym — ksiądz zmienił temat — tych socjalistów z Aliansu, co pragną w Europie republik a w każdej z nich związku wolnych gmin, a przy tym mają one jakoby uszanować kościół i własność prywatną. To już co innego!

— No, jak zachowują bogaczy, to już prawdziwymi socjalistami nie są — odrzekł Wróblewski. — Ale i z nimi mamy łączność. Ja zaś, proszę księdza, tak jak szczerze pisałem już w „Gminie", mam na widoku rewolucję przeciwko nowoczesnemu porządkowi społecznemu, z którego wynika niewola, ciemnota i nędza dla milionów a zbytek i rozpusta dla tysięcy. Każdy to widzi! To trzeba wypalić ogniem i żelazem, orężnie, proszę księdza i pana generała. Wątpliwe, czy da się inaczej. Ale — burząc, trzeba jednocześnie budować. Rzecz to wielce trudna, ale któreś pokolenie wreszcie tej przemiany dokona...

— Nie czas stare grzechy i zło wspominać teraz, kiedy wróg nas pognębił!

— Mamyż stare zło i grzechy przeoczyć przy odbudowie ojczyzny?

Waligórskiemu wydało się, że znalazł na pułkownika argument nieodparty. Szybko zapytał:

— Wolisz pułkowniku niepodległość czy rewolucję?

— Prawdziwa niepodległość, bo trwała, przyjdzie tylko z rewolucją!

— A samej niepodległości bez rewolucji nie pragniesz może, co?

— Również pragnę, generale, ale jako wstępu. Po staremu ciągnąć — nie sposób. Generał widocznie zupełnie nic nie czytasz, nie spostrzegasz, co się dzieje naokoło, nie szukasz w życiu narodów i w książkach żadnych wskazówek na przyszłość...

Waligórski wstał i zdumionym głosem spytał:

— A czyż szlachcicowi potrzebne są wskazówki jakie?

Goście zebrali się do odejścia. Generał w głębi ducha kipiał i obiecywał sobie, że natychmiast po szczęśliwym powrocie do kraju będzie takich jak ten Wróblewski... no nie wieszał, boć to zawsze żołnierz, ale...

Przyszło mu do głowy, że car ma pewną rację, przepuszczając niektórych buntowników przez pałki... Oj, to — to! Zdałoby się!

Gadał coś o tym, ale ksiądz szedł milczący, w głębokim zamyśleniu. Po ich wyjściu Wróblewski nie mógł długo usnąć i pisał coś w rodzaju wyznania wiary:

W inną Polskę, niż ta, którą lud nasz pracowitymi rękoma z grobu podźwignie — nie wierzę; innej Polski nad tę, jaka przy całości historycznych praw, całością praw obywatelskich obdarzy wszystkich swych synów — nie pragnę; dla innej Polski, jak ta, gdzie panowanie człowieka nad człowiekiem ustąpi miejsca panowaniu wolności, rozumu i prawa, gdzie ciemnota zniknie w promieniach powszechnej oświaty, a nędza — w sumiennym rozkładzie społecznych korzyści — dla innej Polski ani żyć, ani umierać nie mogę...

— Potrzebne jest hasło wyraźne — szeptał i kreślił dalej:

Wszystko dla ludu przez lud — w tym haśle znajduję nie tylko polityczny ideał Ojczyzny naszej, ale i środki do jego urzeczywistnienia.

(Dokończenie na str. 6)

*) Fragmenty opowieści o bohaterze Powstania Styczniowego i generale Komuny Paryskiej, Walerym Wróblewskim.

---

ka dusza! Ja jestem ten z głębiny szarej dziw! Ja jestem synteza ludzkich dusz! — Z prochu, co na pozór milczy martwy, powstaję — ja! — Z prochu tysiąca ciał, tysiąca energii, tysięcy milionów ludzkich zjaw. W głębinach ściągają się miliardy sił i oto — powstaję — ja... szary dziw. W głębinach ziemi... aż tam... Gdy ludzka dłoń sięgnie i wydziera mnie na światło — ja jęczę... ja wołam pomocy. Bo nie chcę, by ze mnie szły strzępy ku ludzkiej uciesze i woli..." Ta sama Mandragora zjawia się w zakończeniu sztuki, zamykając symboliczną klamrę naturalistyczną „tragedią głupich ludzi". W samym jednakże utworze dzieją się sprawy zwykłe, tłumaczące się bez symbolicznych zjaw.

Używając metaforycznego skrótu trzeba stwierdzić, że upiory ibsenizmu i przybyszewszczyzny nie zdołały wyssać krwi ze sztuk dramatycznych Zapolskiej. Dzięki temu zarówno Żabusia, Pani Dulska, Panna Maliczeska, Daum, Mąż, Żona i Kochanek (z *Ich czworo*) żyją na scenie i obecnie. W tej większej odporności Zapolskiej na działanie tendencji symbolicznych w dramacie pewną rolę musiały odegrać związki osobiste Zapolskiej z naturalistycznym teatrem francuskim. Pisał o tym już Antoni Potocki: „...Zapolska, pominąwszy już ogromną miarę talentu (obserwacyjnego), miała tę wyższość nad ogółem polskich autorów dramatycznych, że w skali swej nie zależała tak wyłącznie jak oni wszyscy, od sceny niemieckiej, lecz przeżyła w swoim czasie najpiękniejszy moment francuskiego odrodzenia. Repertuar Antoine'a, żywą tradycję Becque'a, późniejszy repertuar l'Oeuvre'u, a wreszcie i rasową, wytworną robotę Curela, Donnay'a Hervieu itp. znała Zapolska nie potrzebując wcale przechodzić przez drugorzędne wpływy sudermanizmu i „wolnej sceny" niemieckiej".

Z całej spuścizny pisarskiej Zapolskiej najżywotniejsze okazały się utwory dramatyczne i w szczególności *Żabusia* (1898), *Moralność pani Dulskiej* (1907), *Ich czworo* (1912), *Panna Maliczeska* (1912). Utrzymały się one w stałym repertuarze scen polskich. Krytyka zgodnie podziwiała w nich dobre rzemiosło dramatyczne. *„Ich czworo"* Zapolskiej — pisał Boy w roku 1920 — jest jedną ze sztuk, po których opuszcza się teatr z uczuciem pokrzepienia na duchu. Nie iżby treść była tak szczególnie budująca, ale dlatego, że przyjemność sprawia widzieć polską komedię, tak doskonale — poza całym talentem — tak porządnie zrobioną i napisaną. Wstyd powiedzieć, ale ze wszystkich naszych współczesnych komediopisarzy ta baba ma może najbardziej męski chwyt; największą zdolność spojrzenia, najdalej posuniętą ekonomię scenicznego wyrazu i gestu. Od początku do końca, każde słowo jest potrzebne, każde jest na swoim miejscu, każde niesie; nie licząc tych — a jest ich bez liku — które iskrzą się samorodnym, nieodpartym dowcipem".[7]) (W roku 1924 dodawał Boy: „Pisząc o *Ich czworo* po raz trzeci w ciągu mego zawodu recenzenta, i tym razem nie mam już wątpliwości: to jest sztuka „klasyczna", ze wszystkich sztuk Zapolskiej może ta jedna").[8])

Jednym z walorów dobrego rzemiosła dramatycznego Zapolskiej jest sposób traktowania przez nią tematu dramatycznego. Koncentruje ona akcję wokół jednego zdarzenia, nadając sztuce istotnie dramatyczną zwartość, która ruguje elementy liryczne i epickie rozsadzające tak często strukturę dramatu młodopolskiego. Jest przy tym Zapolska rzeczywiście wierna zasadzie, którą wypowiedziała w jednej z recenzji teatralnych: „...W książce można przeprowadzić... analizę rozwoju uczucia, na scenie nigdy. Należy więc od razu wprowadzić widza w pełny dramat i przedstawić już osoby działające w rozwoju uczuć, a wtedy widz nie będzie sceptycznym okiem zapatrywał się na rozwój sztuki, a przyjmie fakt i będzie śledził tylko akcję bez żadnej ubocznej krytyki".[9]) W sztukach Zapolskiej istotnie od początku zawiązany jest tak zwany węzeł dramatyczny. I to nie tylko sztukach najlepszych, ale nawet w tych, które w dalszych scenach niekiedy tracą dynamikę dramatyczną. Weźmy za przykład początek jednej z mniej popularnych sztuk Zapolskiej: *Nieporozumienie.*

SŁUGA — Proszę pana!...

GŁOS RYSKIEWICZA (za sceną) — Czego?

SŁUGA — Szlafrok i pantofle.

GŁOS RYSKIEWICZA — Wiem — czego się drzesz. (Sługa czeka pod drzwiami). No!... dawaj!... (drzwi się uchylają, ręka Ryskiewicza ukazuje się i bierze szlafrok i pantofle).

SŁUGA (do siebie pomrukując) — O!... to!... (chwila milczenia, sługa zrezygnowana stoi pode drzwiami. Jadwiga powoli odrywa czoło od okna i odwraca się).

JADWIGA — Czy się już wykąpał?

SŁUGA — Zdaje się, bo wołał o szlafrok...

JADWIGA — Zapomniałaś przygotować? to źle... (idzie w kierunku kuchni, drzwi się nagle otwierają i przez drzwi wylatuje para pantofli, rzucone ręką Ryskiewicza — pantofle trafiają Jadwigę, która z uczuciem wstrętu usuwa się).

JADWIGA — O!...

SŁUGA — No!... macie!...

GŁOS RYSKIEWICZA (za sceną). Nie te pantofle... filcowe!...

Jesteśmy od razu wprowadzeni w konflikt między Jadwigą i jej brutalnym mężem. Zapolska konflikt ten rysuje nie tylko w mowie dramatycznej (w dialogach i monologach), lecz i w notach dla rezysera i aktora. Noty te w dramatach Zapolskiej mają szeroki zakres (zgodnie zresztą z uwagami Zoli w jego rozprawce *Le naturalisme au théâtre).* Daje w nich autorka uwagi dotyczące dekoracji, wyglądu postaci, mimiki. W notach jest jednak coś więcej, rysują się tu wyraźnie sympatie lub — co najczęstsze — antypatie do przedstawionych postaci, do całego środowiska. Weźmy znów dla przykładu notę do aktu I *Nieporozumienia:* „Sala jadalna w przeciętnym urzędniczym domu — na środku stół, nad nim wisząca lampa, pod stołem linoleum — na ścianach talerze imitujące stare fajansy i japońszczyznę. Sofa niby w stylu staroniemieckim — dywaniki na podłodze — przed oknem palma w trzcinowej żardinierce. Półcień — szara godzina — przy oknie, czołem przytulona do szyby, stoi Jadwiga. Piękna, młoda, wysmukła, wyraz twarzy smutny, włosy falujące, zaczesane z bezwiednym artyzmem. Prosty, flanelowy szlafroczek przepasany w stanie. Stoi i patrzy przez szybę w zamyśleniu. — Przez otwarte drzwi w głębi widać sypialnię — dwa łóżka zasłane jednakowymi kołdrami, nad nimi święte obrazki — przed nimi dywaniki. Trochę mebli — komoda — toaletka. Z chwilą otwarcia kurtyny sługa z sypialni wynosi pantofle męskie i szlafrok i idzie na lewo do drzwi kuchennych. Uchyla je i mówi".

„Soczysta nienawiść" (wyrażenie Boya) Zapolskiej do „dulszczyzny" ogarnia w tej nocie również świat rzeczy. Przytoczony fragment demonstruje w lapidarnym skrócie walory naturalistycznego opisu: plastykę zespoloną z celną, sugestywną emocjonalnością, bez tragizowania i nadmiernego liryzmu, o co potykamy się tak często w powieściach pisarki.

Kiedy czytamy podobne noty i mamy w pamięci najbardziej zwarte sztuki Zapolskiej — to obcujemy z najlepszymi cząstkami całego jej pisarstwa.

VI

W sierpniu 1944 roku w uwolnionym od Niemców Lublinie odbyła się premiera *Moralności Pani Dulskiej.* W pierwszym numerze *Odrodzenia* pisał wówczas recenzent: „Wiadomość, że pierwszy teatr polski, przez wyzwolonych artystów zorganizowany, wystawi komedię Zapolskiej—mogła wywołać — i wywoła uczucie zbliżone do niepokoju... zresztą nie możemy odmówić roli społecznej tej świetnej komedii".

„Uczucie zbliżone do niepokoju"... zamienne „zresztą", — to są typowe przykłady rezerwy, jaką zachowuje nasza współczesność w stosunku do Zapolskiej. Nie jesteśmy bowiem skłonni wracać do starych sporów, o których była mowa w pierwszej i drugiej części niniejszych rozważań. Możemy sine ira et studio ustalić społeczny sens pisarstwa Zapolskiej, sięgając do właściwych, historycznych determinant, ukazując słabość ideologiczną pisarki, która krytykę ustroju kapitalistycznego ograniczyła do krytyki obyczajowości mieszczańskiej.

Trzeba się przecież zgodzić na jedno: utwory dramatyczne Zapolskiej, najcenniejsza część jej spuścizny pisarskiej, stanowią najwyższe osiągnięcie komedii mieszczańskiej w Polsce. Jeśli ich problematyka jest przebrzmiała i „niebudująca", to dla właściwej, historycznej oceny trzeba pamiętać, że utwory Zapolskiej związały się wcale nie z heroicznym okresem mieszczaństwa polskiego. Jeśli przypomnimy wielkie słowa o teatrze, iż przeznaczeniem jego „było i jest służyć niejako za zwierciadło naturze, pokazywać cnocie własne jej rysy, złości żywy jej obraz...", to w sztukach Zapolskiej przejrzało się przede wszystkim niewątpliwie nędzne kołtuństwo, słabe drobnomieszczaństwo, które nigdy nie pełniło wielkich historycznych zadań.

Jan Z. Jakubowski

[7]) „Flirt z Melpomeną", „Wieczór pierwszy", r. 1920.

[8]) „Flirt z Melpomeną", „Wieczór czwarty", r. 1924.

[9]) G. Zapolska, „Sfinks przemówił", r. 1923.

(Dokończenie ze str. 5)

OSTATNI WYSTRZAŁ

Wieczorem dnia 21 maja, kiedy pod arkadami pałacu Tuilleries odbywał się olbrzymi koncert ludowy na rzecz wdów i sierot, wojska wersalczyków wdarły się przez rogatkę St. Cloud. Nad ranem Dąbrowski opanował sytuację, ale bitwa toczyła się teraz już w środku miasta. Delescluze osądził, że walka uliczna będzie bardziej odpowiadała gwardiom, uważał, że Wróblewski nie miał racji, kiedy nawoływał do wyprowadzenia federalistów poza dzielnice zamieszkałe. Ale tej ciepłej i wygwieżdżonej nocy wiosennej wdzierają się przez wyłom coraz większe masy napastników. Obiecane posiłki do Dąbrowskiego nie dochodzą, dnia następnego przybywa on do Komitetu Ocalenia Publicznego blady, kontuzjowany w pierś, zdesperowany daremnymi wysiłkami zebrania gwardzistów. Obrońcy fortu Petit Vanves, którzy poszli spać do swoich domów o 5-ej rano, również odmawiają teraz powrotu do walki, widząc nieprzyjaciela na placu Trocadéro.

— Teraz na barykady! — wszędzie wołają gwardziści. Wojna w polu jest dla nich skończona, żaden oficer nie może ich tam powstrzymać. Oficjalna odezwa surowo potępia sztaby i wzywa lud do walki rewolucyjnej na barykadach. Znikają powoli nawet te słabe formy organizacji wojskowej i pewnej dyscypliny, które zdążyły się ustalić w gwardiach. „Romantycy" sądzą, że lud może wygrać swą słuszną sprawę tylko bohaterstwem. Brunel zabarykadował się na placu Zgody. Szereg pozycji federalnych ulega nieprzyjacielowi, ponieważ atakuje on je od tyłu. La Cécilia usiłuje odtworzyć zaprzepaszczoną obronność Montmartre'u. Na lewym brzegu dzieje się nie lepiej — wszędzie długotrwała lekkomyślność sztabu mści się teraz, gdy Thiers uderzył swoimi pracowicie przygotowanymi do akcji wojskami.

Zdumiony i jakby zbudzony z letargu Paryż nagle pokrywa się barykadami. Bataliony biją się na własną rękę, bez przewodniego planu. Inne oddziały gwałtownie się formują i natychmiast — po dwustu ludzi w każdym — obejmują linie frontu ulicznego. Orkiestry zagrzewają do walki, uniesienie podnosi wszystkich na duchu. Niektóre barykady są bronione przez bataliony kobiece. Wiele kobiet z inteligencji i mieszczaństwa pracuje nad budową nowych umocnień. Ale nieprzyjaciel posuwa się nieubłaganie naprzód, obchodzi barykady, wystrzeliwując obrońców, rozpoczyna swój krwawy terror.

Na lewym brzegu Wróblewski odmówił wykonania rozkazu ewakuowania fortów. „Zdrada czy nieporozumienie?" — zapytał. Na wiadomość o utracie Montmartre'u jeszcze raz zaapelował do Delescluze'a — o przeniesienie ciężaru bitwy na południe. Jeszcze raz dowodził, że Sekwana, forty, wzgórze Panthéonu i rzeczka la Bièvre tworzą doskonały system obronny z możliwością odwrotu na wolne od nieprzyjaciela obszary kraju. Ale federaliści coraz usilniej trzymali się już nie tylko miasta, lecz własnych dzielnic, zaś przywódcy polityczni wzbraniali się opuścić Paryż — serce rewolucji.

Wobec tego generał Wróblewski zabrał się z całą energią do utworzenia linii obrony przebiegającej przez ulice lewego brzegu. Załoga Panthèonu odmówiła wykonania jego rozkazów, odpowiedziano, że dowodzi tam Lisbonne. Nie zrażając się tym, Wróblewski fortyfikował tereny pozostałe. Pomiędzy Panthèonem a fortami obrał górującą pozycję Butte aux Cailles, ustawił na niej szesnaście dział i pośpiesznie zaopatrzył w umocnienia bulwary d'Italie, de l'Hopital i de la Gare, wreszcie założył swoją kwaterę w merostwie des Gobelins, odwody zaś ulokował na placach d'Italie, Jeanne d'Arc i przy moście Bercy. Zajęty organizowaniem oporu oraz wprowadzaniem porządku i dyscypliny na swoim terenie, nie wiedział, że Jarosław już nie żyje. Generał Dąbrowski, ciężko ranny u boku Vermorela na ulicy Myrrha, wyzionął ducha w dwie godziny później w szpitalu Lariboisière. Barykady prezentowały broń, kiedy ciało poległego generała niesiono na ratusz. Złożono je tam na błękitnym katafalku. Tak zginął polski rewolucjonista, który nie chciał przeżyć klęski Komuny. Przypominano sobie, jak rankiem tego dnia obszedł wszystkich oficerów i każdemu uścisnął dłoń. W pokojach obok katafalku pracował sztab Delescluze'a: szczupłe grono ludzi, którzy do końca zachowali poczucie odpowiedzialności, brawurę spokojnej pracy wobec bliskiej śmierci.

Po nocy roświetlanej łunami pożarów nadszedł beznadziejny dla Komuny dzień 24 maja. Ratusz trzeba było ewakuować, Brunel otrzymał rozkaz zejścia ze swej pozycji na placu Zgody, federaliści opuszczają pod naporem wojsk Thiersa szereg pozycji, gmachów i barykad. Wczoraj trzymali jeszcze połowę Paryża, dziś zajmowany przez nich teren kurczy się w dalszym ciągu. Dyscyplina upada do tego stopnia, że sam Delescluze nie może uratować swego oficera z rąk obrońców jednej z barykad. Jest to gwałtowna reakcja tłumu na złe funkcjonowanie dowództwa. Z drugiej strony — jeszcze onegdaj podejrzewany o zdradę Dąbrowski otrzymuje niezwykłe honory pośmiertne. U stóp kolumny Lipcowej na placu Bastylii defilują przed nim oddziały. Wokoło owiniętego w czerwony sztandar ciała płoną setki pochodni, głucho biją bębny. Jeden po drugim podchodzą gwardziści, dotykając ustami czoła zmarłego. Obok przemawiającego nad ciałem Vermorela huczą armaty. W ostatnich swoich godzinach Komuna Paryska walczy, spełnia bohaterstwa i niszczy pomniki cesarstwa, gloryfikuje swych najwierniejszych; rozstrzeliwując szpiegów i zdrajców, sama powoli ginie — lecz jednocześnie przekazuje pokoleniom idee zwiastujące nowe społeczeństwo, największą przemianę, jaką ludzkość ma na swej drodze do przebycia.

W sąsiedztwie pozycji Wróblewskiego padł Panthèon; Lisbonne nie mógł go już uratować, gdyż federaliści walczą teraz indywidualnie i nie uznają żadnych oficerów. Ale cztery razy powtórzone szturmy na Butte aux Cailles nie mają powodzenia, przeciwnie — Wróblewski nie tylko je odpiera, lecz sam przechodzi do ataku, żołnierze armii wersalskiej tracą tutaj animusz i przestają słuchać swoich dowódców. Generał już wie o zgonie przyjaciela i postanawia drogo sprzedać swe życie. Wśród walki przypomina sobie ostatnie słowa starego Heltmana: „Kiedyś Francja, obok bohaterów, co jej wywalczą rzeczpospolitą demokratyczno-socjalną, wypisze na nowej kolumnie Vendôme nazwiska Dąbrowskiego i Wróblewskiego". I po wiek wieków nowy lepszy świat będzie pamiętał, że w pierwszych już walkach ludu o ustanowienie nowego porządku walczyli—dowodzili i ginęli Polacy. Ludy nie zapominają takich rzeczy; dalekie są od cynizmu, z jakim cesarskie i królewskie dyplomacje zapominają o swoich przerzeczeniach.

Sztab Komuny, przeniesiony do merostwa XI okręgu, otrzymuje coraz tragiczniejsze wiadomości o masowym wybijaniu federalistów lub osób, na które padło oskarżenie o sprzyjanie Komunie. Żołnierze armii wersalskiej rabują sklepy, mordują kobiety podejrzane o podpalanie domów, dopuszczają się najdzikszych aktów samowoli. Wśród powszechnej furii federaliści rozstrzeliwują w odwet sześciu zakładników z biskupem Darboy. Nocy tej Paryż płonął pod ogniem armat Komuny, które jeszcze strzelały z fortów Bicêtre, Père Lachaise i wzgórzy Chaumont, oraz dział Thiersa, kierowanych na dzielnice federalistów z Panthèonu, Trocadéro i Montmartre'u.

Rankiem dnia 25 maja wersalczycy ustawili baterie na placu d'Enfer, w Luxembourgu i na bastionie 81. Pięćdziesiąt dział celuje do pozycji Wróblewskiego Butte aux Cailles. Nie mogąc jej zdobyć, wróg usiłuje rozbić ją artylerią. Ale Wróblewski ma przy sobie wsławione już walkami bataliony 175, 176 i 101. Ten ostatni zgromadził najbardziej zajadłych i wytrzymałych żołnierzy Komuny. Nie zeszli oni z pola ani razu od 3 kwietnia. Pod Asnières i Neuilly batalion ów wiele razy odrzucał wersalczyków i włóczył za sobą własne trzy zdobyczne armaty. Niepokorne i niesforne dzieci szczerego proletariatu stworzyły tę jednostkę niezawodną w boju, kłopotliwą i buntującą się w przerwach pomiędzy walkami, ale wiecznie ruchliwą, z własnej ochoty szarpiącą nieprzyjaciela i niemożliwą do utrzymania w innej dyscyplinie, jak dyscyplina ciągłej bitwy. Dowódca ich ograniczał swoją rolę do opieki i towarzyszenia swoim diabelskim podwładnym.

— Podobnie doskonały żołnierz wyrobił się z kobryniaków i u Kobylińskiego — przypominał sobie Wróblewski rok 1863. Był może jedynym człowiekiem, z którym ci wychudzeni obszarpańcy jakoś się liczyli. W każdym razie nie zastrzelili człowieka, który wydał się im podejrzany, ponieważ pochwycono go w pałacu francuskiego arystokraty, notorycznego wroga Komuny. Uchwalili posłać upolowaną zwierzynę Wróblewskiemu, rozumując, że ponieważ jeniec okazał się polskim hrabią, więc trzeba go oddać „na pożarcie" polskiemu rewolucjoniście. Ze zdziwieniem patrzyli na powitanie Polaków — Wróblewski odrazu poznał w jeńcu generała Władysława Zamoyskiego.

Po powrocie do kolegów wysłannicy referowali lakonicznie:

— To jakiś kompan starego, podobno razem walczyli z carem. Jak się okazuje, między arystokratami też są ludzie...

— U tych Polaków wszystko może się zdarzyć — odrzekł jeden z głównych „tygrysów" batalionu.

Tymczasem Thiers świadomie przedłużał walkę. Chodziło mu o wypalenie „raka rewolucji" z całą dokładnością. Wolał poświęcić cały Paryż, nad zniszczeniem którego przelano w Wersalu tyle fałszywych łez — aby tylko „zrobić koniec z socjalizmem raz na zawsze".

Rozprawa powoli skoncentrowała się w dwu punktach: na prawym brzegu przy placu Château d'Eau, skąd wersalczycy chcieli oskrzydlić Bastylię, i na lewym przy Butte aux Cailles. Po utracie przez Komunę Panthèonu prawe skrzydło Wróblewskiego zostało odsłonięte, więc generał zabezpieczył swoje komunikacje z Sekwaną przez ustawienie barykady na moście Austerlitz i uzbroił w armaty plac Jeanne d'Arc, żeby ostrzeliwać nieprzyjaciela, gdyby się chciał zapuścić wzdłuż nabrzeży Sekwany.

Na lewym skrzydle osłaniały pozycje Wróblewskiego forty Montrouge i Bicêtre. Delegowany tam członek Komuny nie uratował sytuacji. Oba forty zostały kolejno opuszczone, kanonierzy zagwoździli działa a załogi oświadczyły, że powracają do miasta, żeby bronić swoich dzielnic. Po zajęciu fortów nieprzyjaciel ustawił w nich baterie, które zaczęły zwalczać Ivry i Butte aux Cailles.

W południe rozpoczął się szturm generalny na główną pozycję Wróblewskiego. Barykady na Avenue d'Italie i Avenue de Choisy zatrzymały wroga, ale barykada na bulwarze Saint Marcel była zaatakowana od tyłu po obejściu ogrodami. Na uliczce Cordières oparła się nieprzyjacielowi garść zdesperowanych federalistów. Po wymordowaniu ich wersalczycy ruszyli dalej ogrodami. Butte aux Cailles, otoczona ze wszystkich stron gwałtowną kanonadą, trwała w obronie przez trzy godziny.

Tymczasem okazało się, że załoga ostatniego już na lewym brzegu fortu Ivry nie może go utrzymać. Przed wycofaniem się z fortu garnizon podłożył minę, która zniszczyła dwa bastiony.

Wróblewski mimo to postanawia trwać. Uważa, że wycofanie się na prawy brzeg ostatecznie pogrzebie wszelką możliwość ocalenia sytuacji. Od rana już wzywają go rozkazy do opuszczenia lewego brzegu i skierowania się do XI okręgu, gdzie powstały ostatnie linie oporu, gdzie Komuna postanowiła umrzeć. Generał odpowiada odmownie. Ale sytuacja jego pogarsza się stale. Grozi mu otoczenie, pociski lecą z wszystkich stron. Więzienie na Avenue d'Italie również jest bombardowane, federaliści wypuszczają więźniów, między innymi dominikanów z Arcueil, aresztowanych niedawno za porozumiewanie się z wersalczykami. Zakonnicy śpiesznie uciekają po Avenue d'Italie, na widok habitów wściekłość ogarnia niesforny 101 batalion, dwunastu mnichów pada pod kulami. W rok później dowódca, który bynajmniej nie wydał rozkazu otwarcia ognia, i Wróblewski znajdujący się wtedy w otoczonej Butte aux Cailles — skazani zostali za to na śmierć...

Czerwone spodnie wersalczyków ukazały się już na bulwarze Saint Marcel. Pozycje Wróblewskiego są niemal otoczone. Generał jest teraz zmuszony do wykonania rozkazu odwrotu. Po południu odwrót zaczyna się. Wróblewski metodycznie wyprowadza swoich żołnierzy zą Sekwanę pod osłoną przezornie wystawionej baterii na moście Austerlitz. Zabiera z sobą wszystkie armaty i nawet jeńców: są to federaliści, którzy odmówili dobrowolnego opuszczenia lewego brzegu i chcieli pozostać w swej dzielnicy.

Broni się jeszcze Bastylia i Château d'Eau. Uznojony i szalony swą decyzją walki aż po żołnierską śmierć szedł generał Wróblewski do sztabu Komuny. Oddziału już nie miał — poszczególne grupki żołnierzy po przejściu barykad w XI okręgu wsiąkały pomiędzy ich obrońców lub udawały się do domów. Domy płonęły, ulice zaścielał gruz; huk i trzask bombardowania zagłuszały słowa. Kilku żołnierzy pozostało przy nim — coś do niego mówili, wskazując wylot ulicy. Dopiero w chwilę potem Wróblewski zorientował się, że po piekielnej kanonadzie reduty Butte aux Cailles omal nie utracił słuchu. Od dymu, niewyspania i zmieszanego z potem pyłu piekły go zaczerwienione oczy, z ulgą witające łagodne światło zmierzchu. Jakaś kula prawie oparzyła policzek generała, odmachnął się od niej spóźnionym gestem: to kolejny podstępny strzał któregoś z wrogów Komuny ukrytych za żaluzjami okien. Od strony Bastylii zaczynał słyszeć znajome odgłosy szybkiej strzelaniny — to z pewnością szturm. Wróblewski mimo woli przyśpieszył kroku, choć dopiero co ledwie się trzymał na nogach.

Spojrzeniem utrwalał obrazy, które uświadomił sobie o wiele później. Galopujący od barykady ku barykadzie nieustraszony Vermorel, przez całą pierś przepasany czerwoną szarfą. Jakaś ranna kobieta podtrzymująca rannego oficera o znajomej twarzy. Przez chwilę ujrzał obraz widziany w przelocie lub może opowiedziany przez kogoś: na łożu z błękitnego materiału leży wyprostowany Jarosław, twarz i delikatnie zarysowane usta ma blade jak papier, chwiejny blask świecy to rozjaśnia, to mroczy dumne czoło, w milczeniu siedzą przy nim dwaj adiutanci. Jarosław tracił adiutanta — jak obliczono — co osiem dni.

Wróblewski całą siłą zapragnął takiego właśnie spokoju dobrze spełnionego obowiązku. Dostrzegł już kilku oficerów, zazwyczaj noszących mundury — teraz przebrali się po cywilnemu. Ci chcieliby po klęsce szukać ratunku. Zobaczył również oficera sztabu, przedtem zawsze używającego ubrania cywilnego — wdział oto, na ostatnią chwilę, mundur. To daleko piękniejsze, ale także świadczy o lęku, że mógłby zostać posądzony o tchórzostwo. Albo też — dodaje sobie odwagi. Zresztą — może tak właśnie trzeba: mundur wkłada się na wielkie uroczystości. A to jest pogrzeb Komuny, pogrzeb rychłych nadziei dla robotników świata, dla Polski...

Delescluze właśnie kończył list. Pisał do siostry: „nie mogę służyć za ofiarę i zabawę zwycięskiej reakcji... nie czuję już w sobie odwagi zniesienia nowej klęski po tylu innych... „Tak jak Wróblewski — postanowił zginąć. Zrozumieli się od pierwszego spojrzenia.

— Stosownie do rozkazu przeprowadziłem odwrót. Działa przyszły ze mną, ale prawie bez amunicji — powiedział Wróblewski.

Delegat Wojny wstał, położył mu ręce na ramionach.

— To dobrze. Wiedziałem, że obaj będziecie z nami do końca. Nasza wolność potrzebna jest również wam. I wasza—Francji...

— Dąbrowski... — zaczął Wróblewski, ale zachrypł nagle.

— Tak, przecież wiemy. Jest od nas szczęśliwszy, nie widzi końca — odpowiedział Delescluze. Ascetyczna jego twarz okolona krótką siwą brodą wyrażała rezygnację tak głęboką, że Wróblewski przeraził się. Czuł, że jego własna desperacja nie może się równać z przeżyciem tego sędziwego bojownika o sprawiedliwość, który widział wszystkie barykady świata — te paryskie z przeszłości i te, którymi jeszcze popłynie krew na setkach ulic Europy, zanim dopełnią się czasy powszechnego braterstwa i spokoju. Z oczami wzniesionymi i jakby widzącymi oddalone stulecia nowej ery, mówił o tym polskiemu generałowi, jakby swojemu uczniowi i następcy, zaś Wróblewskiemu wstyd się uczyniło własnej słabości, rozpaczy i zwątpienia. O ileż lat i czynów był młodszy — ileż musi dokonać, aby dorównać temu weteranowi rewolucji! Słuchał a jednocześnie wspominał słowa poznane w młodości: „wolność nie jednemu krajowi lub ludowi, lecz całej ziemi, całej ludzkości jest wspólna". Polski powstaniec uczcił kiedyś tymi słowami pamięć pięciu rosyjskich dekabrystów, teraz brzmią one wspólnie ze słowami Komuny.

— Obejmiesz naczelne dowództwo? — spytał Delescluze.

— Gdybym mógł otrzymać kilka tysięcy ludzi zdecydowanych na wszystko... — ożywił się Wróblewski.

— Najwyżej kilkuset — gorzko powiedział delegat Wojny. Widać było, że bardziej niż klęska boli go ta nieobliczalność natury ludzkiej, która w dniu 18 marca zgromadziła sto tysięcy Paryżan gotowych do marszu na Wersal, a teraz przerzedziła do tego stopnia szeregi, iż nie starczy ich nawet na obsadzenie ostatnich, nielicznych już barykad.

Wróblewski nie zdecydował się na poniesienie odpowiedzialności za klęskę Komuny.

— Chcę bić się i umrzeć jako zwykły żołnierz — odrzekł. Delescluze skinął głową. Polak, który odmówił poprzednio pensji generalskiej i ofiarowanego mu przez Komunę pałacu Elizejskiego, miał prawo po tylu zasługach bojowych nie przyjąć dowództwa nad resztkami federalistów, którzy zresztą nie chcą już uznawać żadnego rozkazu, rozgoryczeni obrotem wypadków. Ale Delescluze wiedział, co skłoniło go do postawienia tej propozycji: odchodząc, pragnął przekazaś komuś dzielnemu swoją straconą już placówkę. Nie jest rzeczą obojętną, co wrogowie i przyjaciele powiedzą i napiszą o tych ostatnich beznadziejnych godzinach. W tej właśnie klęsce zamknie się zwycięska tradycja. Temu Polakowi można by zaufać, że Komuna zginie z honorem...

Delescluze poprawił opasującą go czerwoną szarfę, mocniej nacisnął kapelusz. Stare, chude ciało ożywiło się młodzieńczą energią, gdy zwrócił się do otaczających:

— Przyjaciele moi — powiedział prawie pogodnie — na mnie już czas! Kto mnie odprowadzi? Chciałbym jeszcze raz zobaczyć słońce, właśnie zachodzi...

Niewielka grupa ludzi ruszyła w milczeniu ku barykadzie Château d'Eau. Wróblewski mimo woli pomyślał o swojej znajomej odźwiernej — to stąd niedaleko. Delescluze szedł podpierając się laską. W drodze mocno uścisnął dłonie rannym dowódcom, Vermorelowi i Lisbonne'owi. Za placem zachodziło słońce. Pociski armatnie ryły barykadę przed nimi i wylot bulwaru Voltaire'a. Delescluze wciąż kroczył naprzód, aż doszedł do barykady, wszedł na chodnik i ukazał się po drugiej stronie... Z barykady widziano, jak padł niby rażony piorunem. W zapadającej nocy ginęli jeden po drugim federaliści, którzy usiłowali unieść ze sobą ciało zabitego. Wkońcu zabrakło ludzi — byli potrzebni, gdyż na barykadę runął szturm. Wróblewski podniósł chassepot'a, wycelował starannie i strzelił. Strzelał dużo razy. Była to ostatnia czynność, jaką zdołał zapamiętać z tego wieczora. Sam nie wiedział, kiedy usnął pośród kanonady, pożaru, jęków i trzasku walących się domów. Był to jego pierwszy od sześciu tygodni sen spokojny, głęboki, niezakłócony. Przestał odpowiadać za losy bitew i losy oddziałów, nie był już wodzem, zbrojnym ramieniem Komuny, był prostym żołnierzem, który odparł szturm.

Później wydawało mu się, że nocy tej kołysała go wraz z całą barykadą i jej obrońcami wielka i wspólna wszystkim ludziom Ziemia, ta, którą niegdyś walczący w dalekich lasach stary utopista Kobyliński otoczył czerwonymi gwiazdami nadziei.

Stanisław Strumph Wojtkiewicz

WYDAWNICTWO
ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
WROCŁAW, PLAC SOLNY 13

NOWE WYDANIE DZIEŁ

SŁOWACKIEGO

W stulecie zgonu Wielkiego Poety Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich przygotowało do druku zbiorowe, 12-tomowe wydanie dzieł Juliusza Słowackiego, obejmujące całość jego twórczości (ok. 5000 stron druku w estetycznej oprawie).

Wydanie opracowane zostało przez zespół naukowców pod redakcją prof. dr Juliana Krzyżanowskiego i ukaże się w grudniu 1949 r.

Aby ułatwić czytelnikom nabycie tego wydania, Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich ogłasza

PRZEDPŁATĘ

do dnia 31-go grudnia 1949 roku

na zbiorowe wydanie dzieł Słowackiego na warunkach niżej wymienionych:

1) Cena w przedpłacie wraz z przesyłką wynosi zł 200 — za 1 tom, całość 12 tomów zł 2.400, płatnych bądź jednorazowo, bądź w ratach — z tym jednak, żeby całość uiszczona została do dnia 31 grudnia 1949 r.

1) Przedpłaty można dokonywać bezpośrednio w Wydawnictwie Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, Pl. Solny 13 — konto PKO nr VIII — 1530, w Księgarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich w Krakowie, ul. Podwale 5 — konto PKO nr IV — 354, oraz za pośrednictwem księgarń na terenie całego kraju.

3) Cena powyższa obowiązuje tylko w przedpłacie dokonanej w terminie do dnia 31 grudnia 1949 r. Po tym terminie cena wynosić będzie zł 4.800 za całość 12 tomów.

4) Wysyłka zapłaconych w przedpłacie egzemplarzy rozpocznie się w kolejności otrzymanych zamówień od dnia 1 stycznia 1950 r.

DEKLARACJA

Niniejszym zamawiamy w przedpłacie ..... komplet ..... po 12 tomów, obejmujących całość twórczości poetyckiej Juliusza Słowackiego. Należność w sumie zł ..... zobowiązuje(my) się wpłacić jednorazowo, w ratach po zł ..... na konto PKO nr VIII - 1530 — Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, konto PKO nr IV - 354 — Księgarnia Zakładu Narodowego im. Ossolińskich w Krakowie *). Należna suma w wysokości zł ..... wpłacona zostanie w całości do 31.XII.1949 r.

..... Imię i nazwisko ..... miejscowość

..... zawód ..... poczta

..... ulica, nr domu ..... podpis

..... miejscowość i data

*) Niepotrzebne skreślić

Deklarację należy odciąć i przesłać pod adresem: Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, Plac Solny 13 lub Księgarnia Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Kraków, ul. Podwale 5

„Litieraturnaja Gazieta"

Organ Związku Pisarzy Radzieckich

Przysyłane do Warszawy egzemplarze radzieckiej „Gazety literackiej" są wykupywane w ciągu paru godzin. Wiele czynników składa się na atrakcyjność tego pisma dla inteligencji polskiej. Chciałabym tu zwrócić uwagę tylko na jeden z nich. Chodzi o związek teorii z praktyką, lub raczej treść, jaką w ZSRR wkłada się w pojęcie „praktyka literacka". Jest to niewątpliwie „praktyka nowego typu".

Jak wiadomo — od „inżynierów dusz" wymaga się w ZSRR stałego pogłębiania swych wiadomości o źródłach zasobów psychiki ludzkiej, o obszarze jej walk i twórczości. Jak wiadomo również, ludzi poznaje się rozplątując nici łączących ich stosunków i badając produkty ich pracy.

Toteż „Litieraturnaja Gazieta", szkoła radzieckiego pisarza, jest przede wszystkim szkołą geografii, chemii i fizyki związków między ludźmi i ludzkiej twórczości, twórczości pojmowanej jak najszerzej w prawdziwie humanistycznym wymiarze.

GEOGRAFIA „LITIERATURNEJ GAZIETY"

Na jakim gruncie stoi pismo? Jaki jest zakres, jaki zasięg geograficznych zainteresowań gazety? Co jest dla niej „krajem", a co „całym światem"? Użyjmy tych wszystkich pojęć przede wszystkim w ich ścisłym znaczeniu. Zajrzyjmy do „Kuźnicy", „Odrodzenia". Ilu miastom, ilu wsiom polskim poświęcone są studia lub bodaj noty w tych pismach? Otwórzmy rocznik Lit. Gazety w dowolnym miejscu i porównajmy:

W ostatnich 7 numerach (od 76—82) samodzielne pozycje omawiają sprawy:

Krasnojarska, Irkucka, Perejasławia, Rygi, Permu, Kijowa, Buińska, Leningradu, Saratowa, wsi Wychino, Gorkiego, Astrachania, Kiszyniowa i innych miast — oraz następujących republik i krajów ZSRR:

Tadżykistanu (17 pozycyj), Mołdawii (6), Ukrainy (2), Dalekiego Wschodu (2), Łotwy, Estonii, Armenii, Uzbekistanu.

Wiele miejsca udziela Lit. Gaz. państwom demokracji ludowej. W owych 7 numerach zamieszczone są artykuły i noty o:

Chinach (8), Węgrzech (3), Rumunii (2), Polsce, Czechosłowacji, Bułgarii, Grecji demokratycznej i demokratycznych Niemczech.

Ostatnia kolumna 4-stronicowej gazety — nie licząc prac rozsianych na łamach pozostałych 3 stron — jest, prawie w całości poświęcona państwom burżuazyjnym; poczesne miejsce zajmują tu:

Ameryka (18), Anglia (4), Jugosławia (3), Niemcy Zachodnie (2), Francja, ONZ.

(Przegląd ten oczywiście nie jest ani ścisły, ani kompletny: brak tu miejscowości wymienionych przez pismo okolicznościowe, oraz tych, które figurują w kilkuwierszowych kronikach kulturalnych i rubrykach pt. „Nad czym pracują pisarze").

Przyjrzyjmy się bliżej temu szeregowi nazw, zwłaszcza zaś nazwom republik, krajów, miast i wsi radzieckich. Gdybyśmy oznaczyli te i wymienione w poprzednich numerach rocznika miejscowości na mapie ZSRR — pokrylibyśmy ją gęstym i to prawie równomiernie gęstym lasem chorągiewek.

O czym świadczy ta wędrówka „Gazety" po całym Związku, zaglądanie do wszelkich osiedli ludzkich — wielkich i najmniejszych, bliskich i najdalszych? Nie chodzi tu oczywiście o zaspokojenie ciekawości turystów, o ukazanie próżniakom egzotyki prowincji. Owo skrzętne gromadzenie najdrobniejszych bodaj wiadomości z kraju i o kraju wypływa z wielkiej demokratycznej potrzeby pisarza sowieckiego, która każe mu żyć ze swym narodem, z troski współgospodarza o olbrzymie gospodarstwo, za które czuje się współodpowiedzialny.

Wielka i l o ś ć studiów, artykułów, not i wzmianek o wszelkiego rodzaju osiedlach ZSRR i ich najrozmaitszych sprawach oznacza tu narodziny nowej j a k o ś c i.

Podróże „Gazety" po świecie nie radzieckim nie są również ani przypadkowe, ani „rozrywkowe". Wystarczy przyjrzeć się chociażby cyfrom pozycyj umieszczonych w nawiasach, obok nazw bratnich narodów i państw kapitalistycznych.

Tym siłom, które w danej k o n k r e t n e j konstelacji międzynarodowej najmocniej przeważają szalę dziejów, które najwięcej nadziei wróżą postępowi lub najbardziej mu zagrażają — ofiaruje pismo najwięcej miejsca.

Jest w tym coś więcej ponad ład i ponad planowość. To jest w y c z u c i e h i s t o r i i; w książkach sformułowano by to w ten sposób: „gazeta oddycha powietrzem epoki". Dowolna, wyrwana z kontekstu kolumna może być z łatwością umiejscowiona w czasie — jeśli nawet nie zgadniemy jej dokładnej daty, to przynajmniej potrafimy powiedzieć, w jakim t y g o d n i u zupełnie określonego miesiąca została złożona. Porównajmy z tego punktu widzenia Lit. Gaz. z jakimkolwiek naszym pismem literackim, a przekonamy się, że c y f r a przerasta w j a k o ś ć, w nową cechę, w h i s t o r y c z n o ś ć p i s m a.

ŻYCIE SLOGANU

„Inżynierowie dusz", ci co nie tylko opisują, ale też konstruują człowieka, uczą ludzi trudnej sztuki ludzkiego życia. Przyzwyczailiśmy się do tych słów, zautomatyzowały się one niemal w naszej pamięci, przeszły do archiwum haseł „urzędowych". A przecież w ZSRR żyją one życiem mało u nas zbadanym, a tak intensywnym. Żyją — to znaczy, że treść ich ulega zmianom i dialektycznemu rozwojowi zgodnemu z rozwojem samej rzeczywistości radzieckiej.

Tych kilka uwag o tematyce Lit. Gaz. przyczynią się może do słabego bodaj oświetlenia treści, którą dzisiejszy dzień Związku podkłada pod hasło.

Już na pierwszy rzut oka uderza w tematyce pisma ogromne miejsce, jakie w nim zajmuje polityka, nauki ścisłe i wreszcie coś, co trudno nazwać jednym słowem, a co artysta z „Zachodu" skłonny byłby określić jako „czort wie co": np. sprawa braku stroju roboczego dla załogi jakiejś huty, opieka milicji nad sierotami i inne „drobiazgi" okupujące całe szpalty „Litieraturnej Gaziety". Wypadnie więc w oddzielnym przeglądzie zająć się analizą tematyczną zawartości czterech kolumn „Litieraturnej Gaziety".

Zd

ANDRZEJ KRUCZKOWSKI

Felieton gospodarczy

Pieją, gdy tracą głowę

Co oznacza dewaluacja funta i innych walut „zachodnich"? Czym ona jest w istocie?

To prawda, że i funt angielski i nawet dolar kanadyjski, nie mówiąc o walutach wielu innych państw zachodnich, miały do niedawna kursy sztucznie wysokie, że na wolnym rynku w Nowym Jorku płacono za nie mniej, aniżeli wynosiły oficjalne kursy tych walut wyznaczone przez rządy zainteresowanych krajów. Importer amerykański musiał do niedawna płacić za funt angielski 4,03 dol. mimo, że na giełdzie w Nowym Jorku płacono za funta tylko 3,20 dol.; za dolara kanadyjskiego, który wart był w istocie 94 — 97 centów, w oficjalnych tranzakcjach Amerykanie płacić musieli pełnego dolara amerykańskiego.

Może więc, żeby wzmóc wymianę handlową, żeby usunąć sztuczne trudności w rozwoju handlu krajów bloku atlantyckiego, postanowiono urealnić kursy walut? Może chciano je dostosować do ich rzeczywistej siły kupna?

W ramach „logiki" gospodarki kapitalistycznej takie zamierzenie wydawałoby się teoretycznie — słuszne. „Usuńmy sztuczne przegrody — pisała do niedawna prasa amerykańska — płaćmy sobie wzajemnie za nasze waluty tyle, ile one rzeczywiście są warte, a i my, i wy będziemy produkowali więcej i więcej sobie nawzajem będziemy mogli sprzedać".

Tak wygląda teoria. Tak — teoretycznie— zamyka się krąg w ramach logiki kapitalistycznego myślenia. W praktyce, w tejże kapitalistycznej praktyce, minister skarbu USA p. Snyder powiedział p. Bevinowi i p. Crippsowi rzeczy proste i dla wtajemniczonych łatwo zrozumiałe. I Cripps, i kanadyjski minister Abbot, i nawet Bevin — to nie są ubodzy duchem liberałowie, którzy wierzyliby w to, co Snyderowie mówią prasie, co ta prasa drukuje, w co jeszcze wierzą poniektórzy „światli" ekonomiści i politycy we Francji i we Włoszech, w Londynie i w Krakowie. Bevin, Abbot i Cripps to nie są Krzyżanowscy. Logikę rozwoju gospodarki kapitalistycznej w okresie imperializmu znają z praktyki i zamydlać im oczu nie ma potrzeby.

Snyder mówił prosto:

„Ani plan Marshalla ani Pakt Atlantycki nie uratują gospodarki USA przed załamaniem. Dwie wojny światowe dały nam olbrzymi rozwój przemysłu i rolnictwa. Wykupiliśmy wasze aktywa za granicą, sprzedawaliśmy wam żywność, ubrania, armaty w rozmiarach nigdy niespotykanych. Imperium Brytyjskie ma już tylko długi — i resztki instytucyj ustanowionych w czasach, kiedy sytuacja była inna. Te instytucje, te ślady samodzielności — preferencje celne w ramach Imperium, prawa bloku szterlingowego, regulowanie kursu waluty brytyjskiej nie odpowiadają już zmienionej sytuacji świata. Ameryka się dusi! Ani wywóz towarów (Plan Marshalla) ani wywóz broni (Pakt Atlantycki) nie uratują nas przed zadławieniem. Przystąpić musimy do fazy drugiej. Wyczerpaliśmy już wobec naszych podatników prawie wszystkie argumenty. Na pierwszy ogień poszły angloskie sentymenty dla tak ofiarnej w czasie wojny Anglii. Wmówiliśmy naszym podatnikom, że trzeba wam pomóc — no i dostaliście prawie cztery miliardy pożyczki. Potem trzeba było bronić całej Europy Zachodniej przed komunizmem, powiedzieliśmy to naszym podatnikom — no i przeprowadziliśmy Plan Marshalla. Wywóz towarów za 4 miliardy rocznie to jest coś, ale jeszcze bardzo mało. Zrobiliśmy więc zimną wojnę — groza komunizmu rośnie, podatnik musi to zrozumieć — no i w ramach Paktu Atlantyckiego wywozimy czołgi i armaty.

Co nam jeszcze pozostało? Wiecie przecież, że mimo tego zorganizowanego przez nasz rząd przymusowego eksportu pieniędzy podatkowych w formie towarów i broni zatrudnienie w naszych fabrykach spada, ceny rolnicze idą w dół, bezrobocie rośnie. Co nam jeszcze pozostało ze środków doraźnych, skoro wojny, tego najlepszego businessu, nie jesteśmy w stanie teraz prowadzić?

Z paliatywów, ze środków doraźnych na wyciągnięcie od podatników amerykańskich więcej niż dotychczas w celu ratowania „amerykańskiego stylu życia" — już tylko jedna rzecz została. Z każdego dolara płaconego przez podatnika amerykańskiego do kas rządowych 56 centów idzie już na te Plany, Pakty, Turcje, Chiny i nasze własne zbrojenia. Podatnicy — ta swołocz— wiedzą o tym. Jak ich zmusić, żeby zgodzili się dać więcej? Jak im wytłumaczyć, że zamiast budowy domów mieszkalnych, wydatków na świadczenia społeczne powinni więcej jeszcze wydawać na wywóz naszego bezrobocia za granicę w postaci Planu, Paktu czy jakiejkolwiek innej cholery? Że będąc dopiero w fazie zimnej wojny — musimy się sami tak zbroić, jakbyśmy już byli w fazie wojny prawdziwej?

Uratowanie gospodarki amerykańskiej w formie wywozu towarów — o tym trzeba już zapomnieć. Jesteśmy od dawna w drugiej rundzie. Musimy wzmóc wywóz kapitału. Ale w sposób zorganizowany, nie dziko, nie na w a s z y c h angielskich warunkach. To jest nasza wspólna sprawa — uratowanie gospodarki amerykańskiej. Jeśli my pójdziemy na dół, to i u was, w Imperium, kapitalizm runie w przepaść! Wybaczcie mi więc, że myśląc i o was, mówię, po prostu dla ułatwienia nam rozmowy, o Ameryce. — My jeszczę mamy w zanadrzu jeden środek doraźny: bombę atomową. To już ostatni towar, który możemy sprzedać naszym podatnikom, żeby z nich wydostać więcej dolarów na nakręcanie koniunktury. My już od dwu lat wprawdzie wiemy, że Rosjanie bombę mają, ale przecież mamy w ręku propagandę, mamy świetnego speakera, Truman postraszy naszą publiczność bombą i jeszcze parę miliardów uda się wyciągnąć. Starczy to na trzy kwartały, nie dłużej. A co dalej?

Ponieważ nie możemy obecnie, z czym Panowie zgadzają się, przystąpić do fazy trzeciej, do ratowania „american way of life" przy pomocy wywozu ludzi, tzn. robiąc wojnę gorącą, musimy uintensywnić fazę drugą, tj. wywóz kapitału. I pod tym kątem widzenia musimy rozpocząć nasze obrady.

Rząd amerykański doszedł już do kresu w akcji bezpośredniej, w wykupie Europy i jej długów za pieniądze podatnika. Teraz czas na akcję pośrednią czy, jeśli Panowie wolą, naprawdę bezpośrednią. Czas na Wall Street. Nasi mocodawcy z tej ulicy chętnie ulokują pieniądze za granicą, skoro ich nie mogą wywieźć w formie towaru. Ale oni stawiają warunki. Oni nie chcą się pchać ze swoimi dobrymi pieniędzmi — bez wyraźnej gwarancji rządu USA — do skomunizowanej Europy (w tym miejscu Bevin i Cripps podskakują na krzesłach, żeby zaprotestować. Snyder uspakaja ich ruchem ręki). Jesteśmy przecież między sobą, Panowie. Po co te dzieciństwa. Europa jest skomunizowana od korzenia, a my tylko kładziemy na to marshallowski plaster. Otóż, wracając do tematu, Wall Street na złe interesy nie pójdzie. Może lokować pieniądze, ale w bezpiecznej odległości od Łaby. Panowie rozumieją, że ostatnią nadzieją ludzkości, cywilizacji i demokracji jest już tylko Imperium Brytyjskie.

Snyder przerwał na chwilę swój wywód, spojrzał na uradowane twarze Bevina, Crippsa i Abbota, i ciągnął dalej.

— My wzmocnimy Imperium, pomożemy wam wzmocnić tamy przeciw zalewowi komunizmu. Indie, Bliski Wschód, Austrialia i Nowa Zelandia nie tylko przestaną pompować dolary z Londynu ale w krótkim czasie będą w stanie dostarczyć wam ich. Wall Street jest skłonna zainwestować na tych terenach dziesiątki miliardów dolarów. Właśnie w Imperium, w bloku szterlingowym, którego bynajmniej rozbijać nie chcemy. Przeciwnie, pragniemy gorąco jego wzmocnienia. I od was tylko zależy, czy to nastąpi. Od was zależy, po ile Wall Street będzie płacić za rupię indyjską, za waszego funta czy za funta australijskiego. Od pana, Mr. Abbot, zależy, czy damy Anglikom pieniądze na zakup kanadyjskiej pszenicy, czy sami kupimy wasz nikiel, którego nie mamy już gdzie magazynować, drewno, którego nie potrzebujemy, i bydło, bez którego możemy się obejść. Od pana, Mr. Cripps, zależy, czy broniąc kultury atlantyckiej zechce nas Pan zachęcić do zwiększenia zapasów strategicznych, i tak już nadmiernych, malajskiej cyny i gumy, z którymi nie wie Pan co począć i których cena spada na łeb i szyję.

My nie chcemy rozbić bloku szterlingowego, nie chcemy odcięcia Bank of England od krajów Imperium. My wierzymy, że pokonać komunizm możemy przy waszej, Panowie, pomocy a nie w walce z wami, budując a nie burząc. Nasza prasa — ona jest posłuszna — nie będzie więcej pisała o bloku szterlingowym jako o „finansowym obozie koncentracyjnym". My, wspólnymi siłami City i Wall Street, zrobimy z bloku szterlingowego nie obóz ale fortecę — fortecę antykomunistyczną.

Panowie jednak muszą zrozumieć, że kiedy dawaliśmy pożyczki, kiedy robiliśmy Plan Marshalla czy Pakt Atlantycki, to mogliśmy swobodnie dysponować pieniędzmi. To były pieniądze podatników. Ale pieniądze Wall Street to są dobre pieniądze, liczone pieniądze, pracujące pieniądze. Tutaj cudów robić się nie da.

Licząc więc na pomoc Panów — czekam na ofertę".

Tyle powiedział Snyder. Jaka była oferta Crippsa — nie udało mi się podsłuchać. Nie jest to zresztą ważne. Wiemy bowiem, jaki był rezultat targów, ale narody angielski i kanadyjski będą musiały dopłacić do ratowania „american way of life". Wiemy, że za funta angielskiego Amerykanie płacić będą obecnie niżej ceny wolnorynkowej, tj. dol. 2.80; za dolara kanadyjskiego 90 centów, tj. o pięć i pół centa mniej, niż podpisanemu zapłacił 8 tygodni temu kasjer Chase National Bank w Nowym Jorku. Bevin Cripps i Abbot zgodzili się, żeby za cenę obniżenia stopy życiowej swych narodów W a l l S t r e e t m o g ł a t a n i o h a n d l o w a ć s a m a z e s o b ą.

Obniżka wartości waluty angielskiej i kanadyjskiej zachęci kapitał amerykański do lokowania pieniędzy w Kanadzie, Anglii i krajach Imperium. Powstaną tam nowe fabryki, wykupi się istniejące, p r z e d e w s z y s t k i m w y k u p i s i ę i s t n i e j ą c e. Popłyną dolary strumieniem do Anglii i krajów Imperium, nie trzeba będzie walczyć przy zaciśniętym pasie o eksport, żeby zlikwidować deficyt dolarowy. Dolary przyjdą. Jeśli tylko klasa robotnicza Anglii, jeśli robotnicy krajów Imperium będą grzeczni. Jeśli nie będą żądali podwyżki płac, jeśli zgodzą się pracować dla Amerykanów za te psie pieniądze, za które obecnie pracują na swoje rządy.

Cripps po powrocie do Londynu ogłosił swój wielki sukces: dostał od Amerykanów zgodę i marshallowskie pieniądze (175 mil. dol.) na zakup pszenicy kanadyjskiej, dostał obietnicę zwiększenia „strategicznych" zakupów cyny i gumy, zrobiono mu nadzieję na obniżenie amerykańskiej taryfy celnej (od kilkudziesięciu lat obowiązującej bez poważniejszych zmian). A więc już w przyszłym roku, tylko z tego tytułu, deficyt dolarowy Anglii zmniejszy się o ca. 100 mil. funtów. Mając tanią walutę, a więc niskie w przeliczeniu na dolary ceny eksportowanych artykułów Anglia może ogromnie zwiększyć swój wywóz do Stanów.

O tym Cripps mówił najwięcej, o tej konieczności zwiększenia eksportu, i o tym, że aby to osiągnąć, przemysł angielski nie może teraz, właśnie teraz, przy tej nowej wspaniałej koniunkturze, zwiększać kosztów własnych. Nie może myśleć o podwyższeniu zarobków robotniczych, świadczeń socjalnych, upaństwowieniu stalowni itp. Eksport, po trzykroć eksport.

O tym, że ma to być eksport w ogromnym procencie amerykański, że chodzi tu o zachętę dla Wall Street i zapewnienie jej, iż lokując pieniądze w Anglii może liczyć na niskie płace robocze i maksimum ułatwień ze strony rządu — o tym Cripps nie mówił.

Sukces waszyngtoński Snydera zależy obecnie od tego, czy robotnicy Ameryki i Anglii, czy ludy Imperium będą tak „grzeczne" i tak zakochane w „american way of life", jak pp. Cripps i Bevin. Doświadczenia Planu Marshalla, strajk miliona robotników stalowni i kopalń amerykańskich, wrzenie w Indiach i postawa robotników angielskich każą przypuszczać, że za wielkie oszustwo, którego wobec własnych narodów dopuścili się w Waszyngtonie Bevin, Cripps i Abbot, zgodzili się żeby za cenę im drogo zapłacić. Nie udało się uratować Wall Street przy pomocy eksportu towarów, nie udaje się uratować pacjenta przed udławieniem się przy pomocy eksportu kapitałów, nie uda się tym razem i trzecia runda planowana już dość otwarcie — eksport milionów bezrobotnych Amerykanów, których — ubranych w mundury, w czołgach i samolotach — Wall Street chciałaby wysłać do Europy i Azji dla ratowania „american way of life". Nie uda się to nie tylko dzięki postawie Związku Radzieckiego, dzięki świadomej walce klasy robotniczej całej Europy i krajów azjatyckich, ale i dzięki zdrowemu instynktowi wielkiego narodu amerykańskiego.

Wokół porozumienia waszyngtońskiego prasa anglosaska narobiła dużo krzyku. Ten krzyk przypomina mi aforyzm, który pół roku temu czytałem w „Joplin News Herald".

W stanie Missouri, z którego pochodzi prezydent Truman, jest małe, kilka tysięcy mieszkańców liczące miasteczko Joplin. W dniu 5 kwietnia br. oglądałem, wmieszany w tłum zadowolonych z siebie mieszkańców tego grodu, walkę kogutów. Faworyt turnieju, kogut o przezwisku „rzeźnik", miał tego dnia pecha. Jego niepozornie wyglądający przeciwnik tak mu dogodził, że pod koniec walki „rzeźnik" padł na ziemię prawie nieżywy, z łbem poważnie poszarpanym. Na drugi dzień miejscowa gazetka „Joplin News Herald" zamieściła na pierwszej kolumnie, na całą jej szerokość i dużymi literami następujący aforyzm:

„Kogut „rzeźnik" stracił zarówno głowę jak i zdolność do piania, natomiast niektórzy ludzie pieją wtedy najgłośniej, kiedy tracą głowę".

Andrzej Kruczkowski

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

Jerzy Pytlakowski. ŻYCIE PRZED ŚMIERCIĄ. Powieść, okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa „Książka i Wiedza", 1949 r. str. 194 i 2 nl.

Opartą na motywie okupacyjnym przeżyć więziennych książkę Pytlakowskiego należałoby nazwać raczej zbelektryzowanym pamiętnikiem niż powieścią, zarówno bowiem budowa tej książki, jak jej koncepcja i plan wewnętrzny dość dalekie są od form powieściowych. Tematy więzienne i obozowe przewijają się w naszej literaturze powojennej dość często, nie one więc decydują o pewnej nowości i oryginalności „Życia przed śmiercią". Wartość główna książki Pytlakowskiego polega raczej na tym, że autor przedstawił tu w sposób interesujący i nie naciągnięty proces wewnętrznego dojrzewania i przemiany duchowej bohatera, jego metamorfozę moralną i ideową, dokonaną w celi Pawiaka.

Rodowód społeczny tego bohatera, zlekka tylko zaznaczony, czyni zeń przedstawiciela młodzieży inteligenckiej, która w patriotycznym porywie zapełniała szeregi organizacyj konspiracyjnych (A. K. przede wszystkim), nie bardzo zdając sobie sprawę o jakie cele ostatecznie wypada toczyć walkę i komu dochować trzeba wierności żołnierskiej z taką myślą i w tej intencji, by męstwo, ofiarność i zapał patriotyczny nie były zmarnowane.

Więzienne przeżycia i doświadczenia opisane przez Pytlakowskiego z bardzo realistyczną dokładnością, oraz wpływ i przykład dwóch towarzyszów niedoli — uczestników demokratycznego ruchu oporu, otwierają bohaterowi książki oczy na wiele spraw i zjawisk, przedtem nieprzemyślanych i niezrozumianych. Do tego wewnętrznego przejrzenia przyczynia się również postępowanie uwięzionego na tymże Pawiaku — szefa grupy konspiracyjnej, do której bohater książki należał. Ten szef to postać ciekawa, choć może w niektórych szczegółach nieco fantastyczna: pół-wariat, pół-prowokator; nawet w więzieniu po dyktatorsku chce dysponować swymi podkomendnymi, wystawiając ich na pewną zgubę. Takie zachowanie się „pułkownika" budzi podejrzenie i wątpliwości nawet wśród najbardziej mu uległych. Ostatecznie jednak, nie wiedzą oni, co sądzić o tej ciemnej i złowrogiej postaci, a wraz z nimi i czytelnik stoi tu przed psychologiczno-polityczną zagadką.

Gdy nadchodzi dzień „transportu" z Pawiaka do obozu koncentracyjnego, bohater opowieści nie zna już wahań i niepewności: staje zdecydowanie obok dzielnego, nieugiętego Chrobaka, który ze swej chłopskiej doli wyniósł hart, zaciętość i odporność na wszystkie ciosy, — staje u jego boku, mówiąc: „Będę twardy jak on i będę wierzył tak jak on"... Wierzymy, że to przyrzeczenie będzie dotrzymane, że stanie się ono rękojmią zwycięstwa życia nad śmiercią. Bo nie tylko o rejestrację szczegółów więziennego „Życia przed śmiercią", lecz o ukazanie perspektywy takiego właśnie zwycięstwa człowieka nad przemocą chodziło niewątpliwie autorowi książki i to mu za zasługę poczytać należy.

bd

PAWEŁ HERTZ

Kilka słów w obronie Juliusza Słowackiego

Nie mam zwyczaju replikować na sądy o mojej pracy pisarskiej, nie uważam za słuszne, by pisarz polemizował z recenzentami swoich książek, nie czuję się nigdy dotknięty żadną i niczyją opinią. Najwyżej — jeśli te opinie na to zasługują — staram się je poznać i wyciągnąć z nich wnioski na przyszłość.

Moja książka o Słowackim („Portret Słowackiego", PIW 1949) — jak to notuje kronikarz „Tygodnika Powszechnego" — „stała się przyczyną drobnej ale charakterystycznej polemiki". Ponieważ, jak mi się zdaje, polemika nie ma źródła w mojej książce, ale w wyobrażeniu pewnego krytyka o moich intencjach, czuję się w obowiązku nazwać wszystko po imieniu i wyjaśnić rzecz całą. Otóż Henryk Markiewicz oceniając „Portret Słowackiego" w „Odrodzeniu" stwierdził, że pokazany przeze mnie Słowacki nie nadaje się na „bohatera polskiego Plutarcha". Z tej pretensji Markiewicza czerpie zapewne kronikarz „Tygodnika Powszechnego" następujące stwierdzenie własne: „Hertz uwypuklił... negatywne rysy w wizerunku Słowackiego". Maluczko, a za kilka dni ktoś się odezwie, że szargam narodowe świętości, mimo że na drugiej stronicy tegoż numeru „Tygodnika" p. Starowieyska-Morstinowa stwierdza, że praca moja jest obiektywna. Rzecz jednak nie w tym, komu się moja książka podoba, komu zaś się nie podoba. Rzecz jest stokroć ważniejsza niż nagany lub pochwały, jakie stać się mogą moim udziałem.

Istnieje rodzaj literacki szczególnie dla mnie przykry i nudny — to panegiryk. Istnieje sposób pisania, który bardziej niż inne mi nie odpowiada — to pisanie ad usum Delphini. Moja książka o życiu Juliusza Słowackiego nie jest powieścią, nie jest tzw. vie romancée, nie jest pracą naukową — jest natomiast próbą biograficznego essayu, próbą pokazania życia Juliusza Słowackiego tak, jak mi się ono przedstawiło po wieloletnim obcowaniu z jego poezją, z jego listami, po przeszło rocznym wertowaniu sądów i opinii innych autorów, którzy Słowackim się zajmowali. Jest także moja książka próbą pokazania literackich losów pierwszego wielkiego poety-inteligenta, inteligenta szlacheckiego oczywiście pochodzenia, ale już wyzwalającego się z kanonów kulturalnych szlachetczyzny, ale już surowego i krytycznego w stosunku do klasy społecznej, z której wyrósł.

Uważam, że jedynym zadaniem pisarstwa jest mówienie prawdy. Jakże mogę powiedzieć prawdę o Juliuszu Słowackim? Czy tylko wnioskując z „Króla Ducha" o jego filozofii, czy też śledząc z wierszy „W Szwajcarii" jego przeżycia wewnętrzne? Wydawało mi się, że ta droga nie prowadzi do prawdy. Starałem się pokazać Słowackiego na tle epoki, na tle środowiska literackiego i ideologicznego, od którego tak świetnie i dla siebie pochlebnie odcinał się autor „Odpowiedzi na psalmy przyszłości". Markiewicz uznał, że zarówno pokazany przeze mnie dandyzm i byronizm młodzieńczy, jak i literackie ambicje, nieudane miłości, spekulacje akcjami kolei żelaznej w roku 1848 przy jednoczesnym wskazaniu arcypostępowego stanowiska Słowackiego w takich sprawach, jak towiańszczyzna, powstanie wielkopolskie, sprawa chłopska etc. należy zaliczyć do cech ujemnych. Ależ ja nigdy i nigdzie nie potępiam tych cech, przeciwnie, Słowacki tych wszystkich istotnych i prawdziwych cech pozbawiony — w moim głębokim przekonaniu — okazałby się niezłomnym bohaterem już w dziesiątym czy dwunastym roku życia i w ogóle nie byłoby powodu, by się nad nim zastanawiać. Wszedłby — martwy, straszny, nieludzki — do Panteonu.

Nie ja więc „uwypuklam" negatywne rysy w wizerunku Słowackiego i nie ja porzucam pióro Plutarcha. To tylko mój krytyk tak określa dandyzm, romantyczne wojaże, nieszczęśliwe miłości, spekulacje etc., tak normalne i naturalne dla ludzi owych czasów z chwilą, gdy oderwali się od — mówiąc słowami Słowackiego — „bocwiny, tej hipokreny poetów litewskich" (cytuję z pamięci!). W książce mojej dość wyraźnie pokazałem, jak Słowacki od tej formy wyjścia z kręgu tradycji sarmackiej i szlacheckiej przechodzi z biegiem lat do form innych, znacznie dla nas ważniejszych, zgodnych z ówczesną historyczną linią postępu. Gdybym pokazał Słowackiego tylko jako turystę i naśladowcę Byrona, pretensje byłyby słuszne. Ale stokroć słuszniejsze byłyby pretensje, gdybym go pokazał tylko jako księcia Niezłomnego. Dramat sprzeczności, walka umysłu z nawykami obyczaju, powolne rozczarowanie do wszystkiego, co nie było — lub co mu nie wydawało się — prawdą — oto co zajęło mnie w wizerunku Juliusza Słowackiego. Starałem się nie przemilczeć niczego, jestem bowiem pewien, że znacznie bardziej dydaktyczna i bardziej ludzka jest taka książka, gdzie autor pokazuje rozwój człowieka czy wydarzeń, niż taka, w której autor sławi wszystkim już znane apogeum.

Markiewicz uważa, że mój rewizjonizm został zbyt daleko posunięty. Ależ gdybym nie miał tych grzesznych, rewizjonistycznych myśli o Juliuszu Słowackim, którego świetność i wielkość polega zresztą nie na czym innym niż na gruntownym rewizjonizmie, to nie potrafiłbym napisać ani jednego zdania o tym najpiękniejszym dla mnie poecie!

Nie, stanowczo nie zamierzałem pisać życiorysu wzorem Plutarcha. Ale stało się gorzej — Markiewicz dostrzegł w mojej książce niemal życiorys ze Swetoniusza. A ja chciałem tylko napisać książkę o mądrym, smutnym, wielkim poecie. Pragnąłem, żeby ta książka bodaj w jakiejś mierze była godna przedmiotu — żeby była rozsądna, ludzka i prawdziwa. Czy mi się to udało — rzecz inna. W każdym jednak razie stanowczo protestuję, by ktokolwiek twierdził lub powodował takie twierdzenia, że to ja uwypuklam negatywne rysy wizerunku Słowackiego. Niechże ci, którzy tak myślą, napiszą, że z lektury takie odnieśli wrażenia, że autor nie potrafił narysować portretu etc. Starałem się pokazać Słowackiego — człowieka i pisarza. I zapewniam czytelników, że więcej mądrości i piękności w dziele Juliusza Słowackiego przyniosły nam te lata jego życia, kiedy łamał się z sobą i ze światem. Tych lat było niemal tyle, ile ich zdążył przeżyć. Nie moja więc wina, że portret Słowackiego nie jest uśmiechnięty, że nie jest tylko bohaterski, tylko wspaniały. Nie lubię takich portretów.

Paweł Hertz

SPROSTOWANIE

W przekładzie wiersza Puszkina p.t. „Wieś", drukowanego w numerze 41 „Kuźnicy", zamiast mylnie wydrukowanych zdań: „Ono z gnuśności snu poruszy", „Tu dzikie jaśniepaństwo na ludzką zatratę!", „Wspaniałej zorzy wreszcie zabłysną promienie?" powinno być: „Ono mnie z gnuśnych snów poruszy",, „Tu dzikie jaśniepaństwo na ludzi zatratę" oraz „Wreszcie jutrznia wspaniałe roztoczy promienie?"

Seweryn Pollak

SPROSTOWANIE

W numerze 41 „Kuźnicy" do „Kroniki radzieckiej" z winy jednego źle umieszczonego przecinka wkradł się przykry błąd. Przy wyliczaniu rosyjskich pisarzy romantycznych wymieniono dwa nazwiska: Bestużew, Marliński, gdy tymczasem chodzi tu o jednego człowieka, który nazywał się Bestużew-Marliński.

sp.

Wytyczne szkolnictwa artystycznego

(Dokończenie ze str. 3)

ce — harmonii, teorii, instrumentalizacji, dyrygentury chóralnej, prac instruktorskich, jak również z szeroką mobilizacją ideologiczną i powiązaniem pracy teoretycznej z warsztatem pracy. Przełom programowo-artystyczny musi iść równolegle z aktywizacją ideologiczną. A to z kolei było punktem wyjścia powstania koncepcji Międzyszkolnych Popisów Szkolnictwa Artystycznego połączonych ze zjazdem pedagogicznym i ze zjazdem młodzieżowym.

W myśl tych założeń — w dniach od 23 do 27 października odbywa się na terenie Hal Targowych w Poznaniu Wystawa Studencka wszystkich szkół plastycznych. Do wystawy młodzież przygotowywała się przeszło pół roku. Wystawa ma zobrazować istniejące kierunki ideowo-artystyczne, realnie istniejące w szkołach, z jednoczesną mobilizacją wszystkich ośrodków profesorsko-studenckich, walczących o plastykę socjalistyczną. Wystawa ma w tych warunkach posłużyć jako materiał zarówno pozytywny jak i krytyczny dla równoczesnych posiedzeń pedagogów i młodzieży. Będzie ona praktyczną ilustracją niedomagań i wzlotów naszych szkół artystycznych. Nic dziwnego, że wystawa wywołała ogromne zainteresowanie w szkołach, zwłaszcza u młodzieży.

Jednocześnie odbywają się popisy szkół muzycznych i teatralnych. Popisy szkół muzycznych otwiera wielki koncert kompozytorski studentów konserwatoriów, przy czym studenci występują i jako kompozytorzy, i jako dyrygenci. Koncert zawiera utwory siedmiu autorów, między innymi są wśród nich takie talenty jak Tadeusz Baird, Serocki i Krenz. Cała ta grupa stanowi obóz ostro antyformalistyczny i mocno zarysowała się już na zjeździe w Łagowie.

Szkoły teatralne wystąpią z „Młodą Gwardią" Fadiejewa i montażami artystycznymi, obejmującymi polską twórczość od okresu klasyki do chwili obecnej. Część popisową Zjazdu zakończy chóralny popis zespołów operowo-wokalnych, które wykonają „Kantatę na cześć pracy" Bolesława Woytowicza.

Na tle tej części popisowo - artystycznej odbędzie się część dydaktyczna, na którą złoży się zjazd pedagogiczny oraz zjazd młodzieżowy. Zjazd młodzieżowy będzie dwudniowy i będzie obejmował posiedzenia tylko plenarne, z wyjątkiem młodzieży plastycznej i studentów historii sztuki, którzy pod kierownictwem prof. Starzyńskiego wezmą udział w młodzieżowej sesji naukowej. Na sesji tej będą wygłoszone referaty o tradycjach malarstwa realistycznego w Polsce, rozbite na trzy podstawowe okresy chronologiczne. Referaty wygłoszą: kol. kol. Morawski, Bartoszek i Jakimowicz.

W tym samym czasie pedagodzy będą obradować w podstawowych sekcjach pedagogicznych: muzycznej, plastycznej, teatralno-choreograficznej i filmowej.

Zadaniem zjazdu pedagogicznego będzie przedyskutowanie zarówno dotychczasowego dorobku artystycznego swoich szkół jak i nowych wytycznych ustrojowo-programowych w płaszczyźnie postawionych na zjeździe tez ideologiczno-ustrojowych. Wspólne plenarne posiedzenie odbędzie się 27 października. Zadaniem tego posiedzenia będzie podsumowanie całości obrad.

W ten sposób zjazd poznański zamknie pierwszy okres rozwoju naszego szkolnictwa artystycznego i otworzy perspektywę jego rozwoju w nowych warunkach—w warunkach budowy polskiej kultury socjalistycznej.

Jednocześnie winien stać się wielką kuźnią pracy ideologiczno-artystycznej oraz szeroką konfrontacją dotychczasowych zamierzeń i osiągnięć. A tym samym winien przynieść wielki ładunek artystycznego wysiłku w walce o humanistyczną sztukę nowego okresu, o wprowadzenie doń nowego człowieka . nowej epoki przywracającej ludzkości ludzką godność, a narodowi jego twórczą wolność.

Włodzimierz Sokorski

Także tragedia

Wiem z doświadczenia, że do błędu przyznaje się — jeżeli trzeba, publicznie — na ogół ten tylko, kto czuje się mocny. A płynie takie poczucie z świadomości, że ma się słuszną linię postępowania i ż e się ją na ogół konsekwentnie realizuje. Wtedy błąd jest po prostu zboczeniem z tej słusznej linii. Tylko w takim wypadku można w ogóle mówić o „błędzie".

I tylko to miałem na pocieszenie, gdy w numerze 40 „Kuźnicy" czytałem recenzję Stanisława Brucza z przedstawienia „Marii Stuart" Słowackiego w Łodzi, w szczególności zaś ustęp, w którym napisano (dosłownie): „jest to nie tylko osobisty dramat królowej szkockiej i opowieść o jej zdradzie małżeńskiej, ale coś więcej: tragedia jednostki w ustroju klasowym".

Nie zrozumiałem, choć szczerze próbowałem doszukać się jakiegoś sensu w przytoczonym zdaniu. Otrzaskany jako tako z terminologią „marksistowską" — uczepiłem się „naukowo" brzmiącego zwrotu „tragedia jednostki w ustroju klasowym", w nadziei, że ten zwrot poprowadzi mnie do zrozumienia myśli autora. Daremnie. Dalej nic nie rozumiałem.

Postanowiłem więc „podejść do zagadnienia" (też „marksistowski" zwrot!) z innej strony: zdać sobie przede wszystkim sprawę z tego, co to w ogóle jest tragedia, jaką obiektywną treść wyraża to tak często przez nas używane i nadużywane słowo.

W pierwszej fazie mych teoretycznych rozważań pomyślałem, że o tragedii mówimy wtedy, gdy w konflikcie pada bohater nam sympatyczny, gdy więc upadek jego budzi w nas żal i współczucie a zarazem oburzenie na zwycięzcę. Konflikt odczuwamy tu jako tragiczny — los pokonanego bohatera nazywamy tragicznym.

Ale zaraz spostrzegłem się, że tak subiektywne, abstrakcyjne, a więc idealistyczne pojmowanie tragedii i tragiczności czy tragizmu prowadzi przecież do najbardziej absurdalnych konsekwencji, do zupełnie dowolnego, nie opartego na żadnych obiektywnych kryteriach widzenia tragedii w tym, co bardzo często tragedią nie jest. Nie trudno chyba znaleźć w społeczeństwie klasowym widza, w którego odczuciu i rozumieniu upadek Karola Stuarta, Ludwika XVI, Mikołaja II czy Hitlera będzie wstrząsającą tragedią, osobistą i dziejową. Bo nie trudno znaleźć w ustroju klasowym środowiska, które wymienionych „bohaterów" darzą sympatią a nienawidzą ich zwycięskich przeciwników. Z przedstawienia, które ukazuje śmierć Hitlera i Ewy Braun czy śmierć Mussoliniego i jego kochanki, pewna kategoria widzów wyjdzie z oczami pełnymi łez. Inni będą wstrząśnięci tragicznym losem zmarłego śmiercią samobójczą króla zapałek Ivara Kreugera. Nie zabraknie autorów i reżyserów, którzy takim „tragediom" nadadzą odpowiednią formę sceniczną, nie zabraknie aktorów, którzy wzbudzą w reakcyjnej, kołtuńskiej widowni współczucie dla niefortunnego losu zdetronizowanych królów i przegranych dyktatorów czy zbankrutowanych geszefciarzy.

Nie tędy więc droga do zrozumienia tego, co tragiczne — nie wyjaśnia sprawy uwzględnienie subiektywnych odczuć tego czy innego środowiska i tworzących je osobników. Szukam tedy kryterium obiektywnego — i jakoś przypominam sobie, że Engels w jednym z listów do Lassalle'a (18 V 1859) mówi o „tragicznej kolizji między historycznie koniecznym postulatem a niemożnością urzeczywistnienia go w praktyce". Tu tragizm tkwi obiektywnie w samym konflikcie historycznym, w zderzeniu sił postępowych i wstecznych (uosobionych w konkretnych postaciach dramatu) — gdy siły postępu są jeszcze zbyt słabe i na razie ponoszą klęskę, choć wiemy, że na pewno zwyciężą w przyszłości. Z takiego naprawdę tragicznego — bo obiektywnie tragicznego — widowiska wyjdziemy usposobieni zupełnie inaczej niż z opartej o formalne, pozahistoryczne konwencje sztuki, w której „bohaterem" może być każdy, kto przegrał, a „tragedią" każda klęska, czy to będzie upadek Spartakusa czy Goeringa, Giordana Bruno czy Rasputina, Komuny Paryskiej czy Kuomintangu. W prawdziwej tragedii — w odróżnieniu np. od „tragedii" Rudolfa Habsburga i Marii Veczery — przeżywaliśmy klęskę tego tego co dobre, bo niosące wolność człowiekowi, przeżywaliśmy przejściowy triumf zła, zwycięstwo pierwiastka wrogiego człowiekowi. Taka tragedia podnosi nas moralnie i — choć jest tragedią — nie przygnębia: wiemy, że sprawa, za którą zginęli Tomasz Münzer i Kostka Napierski, Baboeuf i Dembowski, zwycięży. Bo już wtedy gdy oni padali w nierównej walce, historia wydała wyrok zagłady na ich, na razie zwycięskich przeciwników.

Kiedy więc czytam, jak na łamach marksistowskiej „Kuźnicy" krytyk zastanawia się nad istotą rzekomego tragizmu Stuartówny, muszę zapytać: jakaż to tragedia dla nas, którzy przecież o tyle lepiej rozumiemy historię, niż mogli ją rozumieć nawet poeci tej miary co Schiller i Słowacki. Jakież to obiektywne elementy ówczesnej sytuacji każą nam widzieć tragizm w niepowodzeniu reakcyjnego spisku zorganizowanego przez największe potęgi ówczesnego wstecznictwa przeciw najbardziej postępowemu krajowi, jakim była wtedy Anglia? Obiektywną, prawdziwą tragedią byłby przecież upadek Elżbiety, która w zatargu z Marią reprezentuje postęp (choć postęp burżuazyjny, torujący sobie (choć w morderczym dla ludu procesie pierwotnej akumulacji kapitału).

Elżbieta reprezentuje — tak uczy historia — nową Anglię (Anglię Szekspira!) w walce z wrogą koalicją reakcyjnych sił kontynentalnych z Watykanem i Filipem II na czele, w walce z piątą kolumną papistów we własnym kraju. Jako postać historyczna, Maria Stuart, świadome narzędzie tych wrogich nowej Anglii sił zewnętrznych i wewnętrznych, w doskonały sposób uosabia połączenie osobistej, „prywatnej" nikczemności i całkowitej amoralności z polityczną rolą zdrajczyni. Taka postać znakomicie się nadawała na symbol i centralną figurę w organizowanym przez katolicką reakcję systemie osaczenia, zdławienia i rozsadzenia od wewnątrz elżbietańskiej Anglii, ogniska ówczesnego postępu cywilizacyjnego.

Taka jest prawda historyczna i tak wygląda rzekomy tragizm Marii Stuart. Tej prawdziwej historycznej treści konfliktu Elżbieta — Maria mogli, mieli prawo (przy swoim uzbrojeniu teoretycznym) nie rozumieć Schiller i Słowacki. I naszą rzeczą — gdy już koniecznie chcemy analizować te sprawy po marksistowsku — jest zrozumieć nie tylko to, c z e g o oni nie rozumieli, ale zrozumieć też, d l a c z e g o nie rozumieli. Ostatecznie można by w recenzji w ogóle się tym nie zajmować, możnaby w ogóle nie sięgać do zbrojowni marksizmu. Ale skoro się już sięga, to nie po to, by snuć głębokie rozważania na temat „osobistego dramatu królowej szkockiej" i takim przykładem ilustrować „tragedię jednostki w ustroju klasowym".

Są rzeczy, które się wzajemnie wykluczają. Na przykład marksizm i brak podstawowych wiadomości historycznych.

Całe szczęście, że — zgodnie z naszym pojmowaniem tragedii — ta kolizja nie jest tragiczna.

Kandyd

Noty

Frazesy i realia

Anglicy nie należą na ogół do ludzi sentymentalnych i nie ulegają wielkim wzruszeniom. Jakże więc zdziwiła nas notatka w konserwatywnym dzienniku „Daily Express", poświęcona zagadnieniu anglo-amerykańskich stosunków gospodarczych, które uregulowane zostały przez umowę o utworzeniu Rady Gospodarczej dla Ameryki, W. Brytanii i Kanady. Oto co czytamy we wspomnianej notatce:

„Funkcja amerykańsko - brytyjsko - kanadyjskiej Rady Gospodarczej polega na zdegradowaniu brytyjskiego imperium do roli żebraka. **Serce imperium znajdzie się w przyszłości w Waszyngtonie".**

Brytyjski kapitał i serce? Paradoks godny G. B. Shawa. Takiej rozlewności uczuć i takiego przywiązania do kraju nie przewidywaliśmy u angielskich kapitalistów. Smutne refleksje pobudzają widocznie do sentymentalnych zwierzeń, w których mowa o ojczyźnie, sercu i niepewnej przyszłości. Nie należy jednak brać dosłownie tych żalów, albowiem w dalszym ciągu „Daily Express" pisze:

„Stany Zjednoczone znajdą środki pomocy dla naszego kraju i jego rozwoju. Wszelako korzyści z tego rozwoju zagarnie Ameryka".

A więc nie o serce chodzi, nie o utratę niepodległości politycznej, lecz po prostu o stratę **zysków.** To jest jedynie realna rzecz, wszystko inne sentymentalnym frazesem.

rk

Atlantycka międzynarodówka

Nowojorski tygodnik „The National Guardian", organ postępowej partii Henry Wallace'a, odsłania kulisy pewnego planu ukartowanego przez wpływowe sfery amerykańskiego kapitału monopolistycznego. Plan ten przewiduje utworzenie bardzo oryginalnej międzynarodówki, którą inicjatorzy nazywają „demokratyczną", a którą należałoby w gruncie rzeczy zatytułować „międzynarodówką spod ciemnej gwiazdy". Zadaniem nowej organiza-

cji jest, jak pisze wspomniany tygodnik, „werbowanie członków do tajnej armii agresorów, złożonej ze szpiegów, tajnych agentów, sabotażystów, organizatorów i propagatorów". Armia ta jest mobilizowana, rzecz jasna, przeciw krajom demokracji ludowej i Związkowi Radzieckiemu. Jednym z najważniejszych zadań „międzynarodówki" jest organizowanie skrytobójczych mordów i zbiorowych akcji bandyckich przeciw działaczom komunistycznym.

Międzynarodówka morderców dzieli się na dwa wydziały. Pierwszy prowadzi „jawną walkę", drugi kieruje „ruchem podziemnym". Na naczelnego szefa organizacji jest przewidziany generał W. J. Donovan, były szef amerykańskiego wydziału oświaty wojskowej. Nowa „międzynarodówka" ogłosiła już w prasie swój manifest.

Gen. Donovan, który szerzył dotychczas „oświatę" w wojsku amerykańskim, poniesie kaganek tej oświaty między ciemne ludy europejskie. Banda morderców i zbirów w roli rzeczników demokracji — to pomysł godny wariata Forrestala, byłego zwierzchnika Donovana.

rdc

Dwie podróże

Chile jest ojczyzną wielkiego poety Pablo Nerudy, który musiał uchodzić przed prześladowaniami tamtejszych faszystów i szukać schronienia u swoich przyjaciół za granicą. Przyjaciółmi Nerudy są wszyscy walczący o pokój i wolność narodów. Poeta jest dziś ambasadorem ludu chilijskiego, piewcą jego niedoli i wyrazicielem jego tęsknot. Ma jednak Chile i innych przedstawicieli, którzy reprezentują kapitał tego kraju i którzy gotowi są dla zysku sprzedać siebie wraz z całym narodem temu, kto lepiej zapłaci. O jednych i drugich przedstawicielach swojego kraju mówił Neruda na Kongresie Pokoju narodów kontynentu amerykańskiego. Z tego przemówienia warto przytoczyć następujące słowa:

„Dwa wielkie mocarstwa zaprosiły niedawno dwóch Chilijczyków: Stany Zjednoczone generała chilijskiego, aby pokazać mu amerykańskie uzbrojenie; Związek Radziecki zaprosił mnie na uroczystości 150-lecia urodzin Puszkina. Oba te zaproszenia charakteryzują w pewnym stopniu dzisiejszą sytuację. Jeśli już ktoś przedostaje się przez dolarową kurtynę i udaje się do Stanów

Zjednoczonych, to tylko generał, który chce zapoznać się z metodami masowego niszczenia. Kto jednak uchyli kurtynę oszczerstw, którą wrogowie Związku Radzieckiego usiłują przesłonić ten kraj, ten dostrzeże imponujące zwycięstwo ducha".

rk

ODP. RED.

Ob. Roman Czerny, Warszawa, ul. Brukowa nr. 32. Prosimy o ewentualną notę w poruszonej przez Was sprawie, która nie jest nam bliżej znana.

EDWARD TROJANOWSKI

Reorganizacja życia sportowego

W organizacji przedwojennego życia społecznego w Polsce wychowanie fizyczne przez długi czas kręciło się jak piąte koło u wozu, aż wreszcie sukcesy kasowe meczów piłkarskich, kolarskich czy bokserskich przekonały ówczesnych wodzów państwa, że ten sport to wcale nie jest taki nieciekawy interes. Wzory niemieckiej kultury fizycznej zmieniły ostatecznie orientację naszych „gór". Armia generałów i pułkowników ruszyła na podbój wychowania fizycznego i sportu w Polsce.

Sanacja doskonale oceniła możliwości, jakie daje wychowanie fizyczne i sport, oceniła je oczywiście nie z punktu widzenia korzyści społecznej, lecz z punktu widzenia własnych korzyści.

Ponieważ sport jest m. in. niewątpliwie środkiem aktywizacji społecznej, rządy sanacyjne, którym na rękę było utrzymywanie chłopstwa w stanie zacofania, wyłączyły wieś z jakiejkolwiek akcji na tym odcinku. Trudniej było dać sobie radę z młodzieżą robotniczą w miastach, zwłaszcza że nieliczne lecz aktywne kluby robotnicze same walczyły o swoją pozycję. Robiło się jednak wszystko, żeby uniemożliwić rozwój kultury fizycznej wśród robotników. Na sport robotniczy rząd sanacyjny nie dawał ani grosza, a dostęp do miejsc szkolenia (np. w CIWF na Bielanach) obwarowany był takim regulaminem, że przeszkolenie sportowe przedstawicieli klasy pracującej było praktycznie niemożliwe. Nie było również tajemnicą, że robotnik, choćby nawet najlepszy zawodnik, tylko przypadkiem mógł trafić do szeregów reprezentacji.

Wychowanie fizyczne, z jej scholastyczną, oderwaną od życia, twierdzą niepotrzebnych lub fałszywych nauk — Centralnym Instytutem Wychowania Fizycznego — przyjęło ogólne hasło sanacji „byczo jest" i prowadziło wprost na arenę cyrkowego elitaryzmu.

Były dwa potężne motory produkujące przed wojną atmosferę sportową w Polsce: wpływ niemiecki i wpływ amerykański. Zaczniemy od tego drugiego, który oddziaływać zaczął wcześniej.

Błyskotliwe wyniki amerykańskiego sportu w y c z y n o w e g o imponowały naszej młodzieży — to jasne. Ale z braku uświadomienia jej o społecznej roli tąk pojmowanego sportu — młodzież polska stawiała sobie za wzór sport amerykański nie tylko jako wzór przymierzalnego w cyfrach wyniku, ale jako jedyny cel wychowania fizycznego.

Celowość sportów w USA jest dokładnie widoczna: sport jest tam masowy a służy jednostkom. Selekcja milionowych rzesz na boiskach i ringach wyłania coraz to nowych „cudownych ludzi", napełniających widzami trybuny i dolarami kieszenie prywatnych przedsiębiorców, stuprocentowych „posiadaczy sportowych". Miłość do pieniędzy zagłuszyła nawet „wrodzony wstręt" do Murzynów, którzy są we wszystkich dziedzinach sportowych eksploatowani nie gorzej niż na plantacjach kawy. O ile np. „skończony" biały as może jeszcze liczyć na jałmużnę jakiegoś mecenasa, czarny rekordzista, gdy mięśnie nie są już sprawne, ginie zazwyczaj w nędzy i pogardzie.

Tak podziwiany u nas sport amerykański jest straszliwą, destrukcyjną maszyną produkującą, obok astronomicznych rekordów, wykolejeńców i żebraków.

Nie przypadkowo w każdej niemal kryminalnej książce amerykańskiej występuje patologiczny typ o bokserskiej przeszłości, mordujący ludzi bez zmrużenia oka. Bo też ów sławny boks USA zieje zgnilizną moralną z każdego ringu, na którym trenują się przyszli gangsterzy.

Profesor J. Chałasiński, w swej pracy „Społeczeństwo i wychowanie", opierając się na źródłach amerykańskich — pracy Thrashera „The Gang" — pisze:

„Sport nie włączony w ramy normalnego życia zbiorowego, sport nie podporządkowany ideałom społecznym i kulturalnym, sport uprawiany w warunkach zdezorganizowanego i anonimowego życia zbiorowego społeczeństw wielkokapitalistycznych, zostaje wyzyskany bardzo łatwo dla różnych form politycznego bandytyzmu. Właśnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie istnieją wszystkie wymienione warunki, badania socjologiczne wykryły, że różne sportowe organizacje młodzieży łączą się z jednej strony z organizacjami politycznymi, a z drugiej — z organizacjami przestępczymi" („Społeczeństwo i wychowanie", str. 85).

Oddziaływanie hitleryzmu przez sport było jeszcze groźniejsze. W książce prof. Chałasińskiego czytamy:

„Hitler, wykorzystując sportowe organizacje młodzieży dla celów politycznego bandytyzmu, wykorzystał dwa istotne elementy sportu młodzieży mieszczańskiej: 1. grupową organizację, 2. społeczną bezideowość" („Społeczeństwo i wychowanie", str. 86).

Nie ulega kwestii, że w planach „sportowej ręki Hitlera" — Tschammera und Osten — zacieśniające się kontakty sportowe z Polską nie miały na celu wyłącznie zdobywania laurów na boisku. Cele były „ideowe". Pomoc w tych „kontaktach" okazywały zresztą najwyraźniej polskie władze. Dość powiedzieć, że niemieckie wpływy powodowały usuwanie Żydów z reprezentacji polskich w spotkaniach z Niemcami. Dość przypomnieć, że na żądanie Berlina, mimo oburzenia opinii publicznej, nie wystawiono do reprezentacji naszego najlepszego boksera Rotholca.

Coraz bardziej zacieśniały się nasze więzy z zachodnimi sąsiadami, coraz grubsza zasłona pokrywała wszystko co osiągano w tym czasie na odcinku wychowania fizycznego w ZSRR. Ze Związkiem Radzieckim nie łączyły nas żadne stosunki sportowe i sanacja była z tego dumna...

Gdy polityka naszego rządu i rządu hitlerowskiego wobec Czechosłowacji została uzgodniona, następuje niemal całkowita likwidacja tak żywych, tradycyjnych meczów polsko - czechosłowackich. Tłumaczyło się to „brakiem konkurencji w słabym sporcie czechosłowackim", a jednocześnie ożywiało się stosunki z nieatrakcyjnym przeciwnikiem, jakim była wówczas Rumunia króla Karola.

Zupełne zaniedbanie wsi, brak naukowego systemu szkoleniowego, brak instruktorów, trenerów, fałszywa koncepcja celów, jakim służyć ma wychowanie fizyczne, przejęcie się hitlerowskimi „ideałami" zespołów młodzieżowych, o których pisał na wygnaniu socjolog niemiecki K. Mannheim, że „utajonym celem tych grup jest przedłużenie psychicznej postawy niedojrzałości" — oto nędza spadku przedwrześniowego.

Wychowanie fizyczne w pierwszych latach okresu powojennego cechowały — zarówno od strony formalnej jak i merytorycznej — poważne niedomagania i błędy.

Podstawowa reorganizacja WF i sportu — powszechny obowiązek wychowania fizycznego — ujrzała światło dzienne dopiero w 1947 r. A jakże niezwykłe dzieje przechodziło wychowanie fizyczne i sport w latach 1945—46, zanim powstał PUWF. Dziko rósł sobie sport w Polsce, gdy tymczasem odbywały się niekończące się konferencje, komisje i debaty organizacyjne, nacechowane zupełnym brakiem planu i programu ideowego. Trzeba powiedzieć sobie szczerze, że na tym odcinku — od chwili wyzwolenia, poprzez PUWF, GUKF — „dopuszczalny" chaos i obiektywne trudności trwały za długo.

Nie ulega kwestii, że przyczyną tej bezradności nie był jeszcze jeden np. objaw złej organizacji. Przyczyna była bardziej polityczna niż się pozornie wydawało. Na sport pierwszego powojennego okresu miała bowiem potężny wpływ prawica socjalistyczna, działająca przez ówczesne kierownictwo OM TUR. I właśnie lata 1945—46, gdy jedyne w tym czasie rozwiązanie — koncepcja PUWF przy Ministerstwie Obrony Narodowej — wisiało na włosku, były obciążonym politycznie okresem zastoju i błędów w naszym sporcie. W tym stanie rzeczy tylko interwencja Partii mogła radykalnie zmienić „postawę społeczną" wychowania fizycznego. Słusznie też świat sportowy uważa dzień opublikowania znanej uchwały Biura Politycznego KC PZPR za datę otwierającą nowy rozdział w historii wychowania fizycznego i sportu w Polsce.

Biuro Polityczne KC PZPR zapoznawszy się dokładnie z organizacją, wartością i programem dzisiejszego wychowania fizycznego, dało w 14 punktach plan wytyczny dla pracy, która już tym razem będzie jak najściślej związana z celami nowej Polski.

„Jednym z najważniejszych elementów budowy podstaw socjalizmu w Polsce Ludowej — czytamy w pierwszej części uchwały — jest wychowanie nowego człowieka, świadomego twórcy nowego, sprawiedliwego ustroju.

W procesie tego wychowania poważną rolę spełniają wychowanie fizyczne i sport, które poprzez podnoszenie sprawności fizycznej i stanu zdrowia narodu przysposabiają go do wydajnej pracy i obrony Ludowej Ojczyzny. Stają się one ważnym czynnikiem społecznej aktywizacji i wychowania młodzieży. Stąd też zagadnienie kultury fizycznej wyrasta do problemu wielkiej wagi, który winien stać się przedmiotem szczególnej opieki ze strony naszej Partii".

Na tym szczeblu i w ten sposób nikt jeszcze w Polsce nie mówił o wychowaniu fizycznym.

Biuro Polityczne tak określa zadania wychowania fizycznego:

„Polska zmierzająca do socjalizmu winna być krajem zdrowych i mocnych ludzi, radujących się życiem, w których wychowanie fizyczne i sport wyrobią siłę woli, opanowanie i odwagę, wytrzymałość na trudy i umiejętność zespołowego życia i wysiłku, ludzi przygotowanych do pracy dla Ludowej Ojczyzny i do obrony w razie potrzeby jej granic.

Powszechne wychowanie fizyczne i masowy sport w Polsce Ludowej, to pomnożenie sił budowniczych Polski Socjalistycznej, jeden ze środków wychowania w duchu międzynarodowej solidarności sił postępu, to jeden ze środków walki o trwały i demokratyczny pokój".

Dając następnie 14 wskazań dla tworzącego się przy Prezydium Rady Ministrów Komitetu, który będzie kierował całokształtem wszystkich zagadnień kultury fizycznej, Biuro Polityczne wymienia najistotniejsze warunki, które muszą być spełnione, by wychowanie fizyczne mogło sprostać swym zadaniom:

1) jednolite kierownictwo, 2) rola ZMP w walce o upowszechnienie kultury fizycznej i jej ideowe oblicze, 3) sprawy produkcji sprzętu sportowego, 4) szkolenie kadr fachowców robotniczych i chłopskich, 5) sport w uczelniach, 6) poziom ideologiczny w zrzeszeniach sportowych, 7) zwiększenie zainteresowania sportem ze strony państwa, Samopomocy Chłopskiej, Służby Polsce, Związków Zawodowych, łączność sportu miejskiego z wsią, 8) uwzględnienie potrzeb wojska na odcinku wychowania fizycznego, 9) stworzenie bazy naukowej dla przeciwstawienia się wstecznym teoriom, korzystanie z bogatego źródła teorii i praktyki Związku Radzieckiego, 10) uatrakcyjnienie form masowego WF., wprowadzenie Państwowej Odznaki Sprawności Fizycznej, 11) stworzenie sportu wyczynowego na bazie masowego wychowania fizycznego, 12) opieka lekarska, 13) wyszkolenie szerokiego aktywu bezinteresownych działaczy sportowych, 14) podniesienie ideologicznego i fachowego poziomu propagandy.

Jasna rzecz, że na tworzący się centralny aparat kultury fizycznej Biuro Polityczne nakłada trudne obowiązki, ale żeby umożliwić spełnienie ich, Biuro Polityczne daje Głównemu Komitetowi mocną podporę: organizacje partyjne, zobowiązane do konkretnej pomocy.

Ta właśnie konkretna pomoc Partii w tworzeniu nowej kultury fizycznej w Polsce — zadecyduje o powodzeniu.

Edward Trojanowski

KSIĄŻKI NADESŁANE

TOMASZ MANN — Buddenbrookowie — przełożyła z niemieckiego Ewa Librowiczowa. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r. Tom. I str. 369. Tom. II str. 345.

BOLESŁAW PRUS — To i owo — Wyd. „Książka i Wiedza, Warszawa 1949 r. str. 198.

HELENA MALIRZOWA — Mariola — przełożyła z czeskiego Alina Świderska Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r. str. 215.

JULIUSZ WIRSKI — Inżynier Saba — sztuka w 3 aktach, Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r. str. 165.

STANISŁAW HISZPAŃSKI — Lotnictwo bez cudów — Wyd. „Książka i Wiedza" Warszawa 1949 r. str. 184.

J. J. ROGIŃSKI — Co to są rasy ludzkie — Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r. str. 40.

TREŚĆ Nr 42

Narodziny nowych Niemiec — **Stalin** — Generalissimus Stalin do prezydenta Piecka i premiera Grotewohla; **Bolesław Bierut** — Przewodniczący K. C. PZPR Bolesław Bierut do przewodniczącego SED; **Jerzy Andrzejewski** — List do pani Hildegardy Peine; **Bert Brecht** przełożył **Stanisław Wygodzki** — Wiosna 1938, Niemieckie czytanki wojenne, Myśli o trwaniu emigracji, 1939 r., 1941 r., Złodziej czereśni; **Kazimierz Brandys** — Odpowiedź wulgaryzatora; **Ryszard Matuszewski** — Poegzaminowe refleksje; **Jan Z. Jakubowski** — Gabriela Zapolska; Z poezji radzieckiej — Siemion Botwinnik, Aleksander Prokofiew, Ilja Awramienko, przekłady **Włodzimierza Boruńskiego; Aleksander Radiszczew** — Chotiłow przełożył **Seweryn Pollak;** Egon Naganowski — Jeszcze w sprawie „Siódmego Krzyża; **Wawrzyniec Żuławski** — Z sal koncertowych; Przegląd czasopism radzieckich; Na półkach księgarskich; **Kandyd,** Korespondencja; Noty.

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 12a (Frascati 1) pokój 413, IV p. tel. 4-01-80. w. 95 Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 80.—: kwartalnie zł 240.—: półrocznie zł 480—; rocznie zł 960.— Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-10900. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-91303